Nr. 11 CENA (PRIX) 3 Frs

En page 6 : EXTRAITS ET RÉSUMÉS, EN FRANÇAIS, DES ARTICLES PARAISSANT DANS CE NUMÉRO

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES POLONAISES

HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE

TYGODNIK

NIEDZIELA, 26 MAJA 1940
ROK I — NR. 11 — PARYŻ,

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PARIS,
52, avenue des Champs-Elysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.
Metro: Marbeuf.

Codzień w g. 10—12 i 15—19.

Konto **w Banku Polskiej Kasy Opieki** (23, r. Taitbout) **nr. 72.**

CENA PRENUMERATY:

We Francji kwart. **35 fr.**, półrocz. **65 fr.**, rocz. **125 fr.**
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglji 6 s. 6 d., w Belgji — 8 belgów, w Danji, Norwegji i Szwecji — 7 koron, w Holandji — 3 floreny, na Litwie — 6 litów, w Palestynie — 35 piastrów, w Rumunji — 400 lei, w Szwajcarji — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech — 8 pengö, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych krajach — 1.50 dolara.

ALEKSANDER HERTZ

GOD SAVE THE KING!

I

Kongres berliński był ostatnią przed wielką wojną próbą stworzenia systemu równowagi europejskiej. Nie była to próba nieudana. Mimo wszystkie swe braki, system funkcjonował, gorzej czy lepiej, lat przeszło trzydzieści. Zapewnił całemu pokoleniu Europejczyków życie w warunkach pokojowych. Opierał się on na koncercie sześciu wielkich mocarstw, z których każde miało swe określone miejsce i w całości stanu równowagi odgrywało określoną rolę, spełniało wyraźne funkcje. Dokoła tych mocarstw, grupujących się w dwa wielkie bloki, skupiali się satelici, którzy w ten czy inny sposób uzupełniali system. Oparcie materjalne stanowił wspaniały rozkwit gospodarki kapitalistycznej z jej polityką liberalizmu, ze zdolnością do ekspansji, z umiejętnością tworzenia i wymieniania bogactw.

Blisko cztery dziesięciolecia Europa żyła w atmosferze optymizmu. Rzeczywistość przedstawiała się małemu człowiekowi w barwach pogodnych. Była ustabilizowana, umożliwiała każdemu planowanie swych spraw na dłuższą metę. Ogromna ilość ludzi mogła myśleć o przyszłości i mieć pewność, że projekty i zamierzenia mają mocną podstawę. Krzywa stanu oszczędności szła stale dogóry. Życie przebiegało równo, i w przewidywaniach można było pomijać czynnik katastrofalnych niespodzianek.

Stosunki wymienne pomiędzy krajami umożliwiały łatwe przenoszenie się bogactw, nie tylko materjalnych, ale i duchowych. Zdawało się, że ludzie wszelkich narodów są na drodze do najściślejszego wzajemnego zbliżenia się. Stale rozszerzał się krąg ludzi, którzy równie dobrze czuli się w Berlinie jak w Paryżu, w Wiedniu jak w Londynie. Wiara w znaczenie czynników ogólnoludzkich znajdowała silny rezonans w szerokich warstwach społecznych. Nazwy «międzynarodowy» i «międzynarodówka» nie miały podówczas zabarwienia negatywnego.

Oczywiście, sytuacja owa nie była doskonałością. Niebo ówczesne nie było wolne od chmur. Istniały konflikty wewnętrzne, pogłębiały się przeciwieństwa pomiędzy polityką mocarstw, zbierał się proch pod przyszły wybuch. Przygotowywała się wojna światowa. Ale dla przeciętnego człowieka były to rzeczy mało uchwytne lub wręcz niedostrzegalne. Nie brał na serjo różnych proroctw apokaliptycznych, przewidujących możliwość wojny powszechnej i powszechnej katastrofy. Świat zdawał się być uporządkowany i mocny w podstawach. Jeżeli toczyły się wojny, to gdzieś daleko, skąd dochodziły tylko głuche echa. W Europie nadawały one życiu pewną przyprawę, czyniły czasy bardziej interesującemi. Pasjonowano się niemi, czytając gazety.

A jednak stan równowagi się skończył, wojna wybuchła. Podzieliła ona Europę na dwa olbrzymie obozy. Celem jednego z nich było stworzenie potężnego organizmu politycznego i gospodarczego, w którym miejsce kierownicze przypadłoby Niemcom. W rzeczywistości chodziło o coś więcej niż o miejsce kierownicze. W miarę jak ujawniała się słabość satelitów, Rzesza w tej konfiguracji stawała się wszystkiem. «Mitteleuropa», przedłużona na Bałkany i Bliski Wschód, rozszerzona przez zdobycze na zachodzie, przez spadek po Rosji i przez nowe władania zamorskie, równałaby się ustanowieniu w Europie bezwzględnej hegemonji niemieckiej. Drugi obóz był bez porównania mniej jednolity i mniej wyraźny w swej koncepcji ogólnej. Anglji zależało na przywróceniu na kontynencie stanu równowagi, naruszonego przez ekspansję niemiecką. Francja i Włochy myślały przedewszystkiem o odzyskaniu ziem, wchodzących w krąg ich posiadania narodowego. Późno, w końcowym etapie wojny, przyjęła Ententa ideę Wilsona, która miała dać Europie i światu jakiś kształt wyraźny, obliczony na długotrwałość.

Mimo to jednak Ententa miała w swem ręku olbrzymie możliwości. Była obozem demokracji, w którym — rzecz najważniejsza — stanęły razem trzy wielkie potęgi: Anglja, Francja i Stany Zjednoczone. Na ziemi francuskiej żołnierz angielski walczył w jednym szeregu, obok «poilu», ze wspólnym wrogiem. Kombinacja trzech wielkich demokracyj mogła była stać się punktem wyjścia do trwałego uporządkowania Europy.

Kombinacja ta jednak okazała się wysoce nietrwała. Drogi trzech wielkich demokracyj zaczęły się rozchodzić zaraz po wojnie. Było to jedno z największych nieszczęść, jakie kiedykolwiek spadły na ludzkość. Nie będziemy tu się zajmowali historją tego rozejścia i analizowali okoliczności, wśród których nastąpiło. Stwierdzamy je tylko i oceniamy jako wielkie nieszczęście. Ono sprawiło, że Liga Narodów stała się tworem nieżywotnym, że od dawnej Ententy zaczęli odpadać jej partnerzy; ono stworzyło doskonałe warunki odbudowania się potęgi Rzeszy. Warunki te Niemcy umieli wyzyskać.

Dla Europy najgroźniejszy był cichy antagonizm angielsko-francuski. Istniał on stale i ciążył tragicznie na losach naszej części świata. Konsekwencją jego było zapanowanie w Europie stanu anarchji. Dawny system równowagi, któremu kongres berliński starał się dać w r. 1878 trwalsze podstawy, runął ostatecznie w r. 1914, a po wojnie nie został zastąpiony przez żaden nowy system. A nowy system mógł polegać tylko i jedynie na stałej i ścisłej współpracy Anglji i Francji. Na współpracy, któraby z obu mocarstw uczyniła element kierowniczy, organizujący ludy europejskie jako całość.

II

A dla Europy niezbędny był system, któryby ją politycznie scałkował. Właśnie w dobie powojennej, mimo panującego chaosu, potężniały siły, które pchały nasz kontynent do jedności gospodarczej i kulturalnej. Nacjonalizm gospodarczy, nonsensy autarkij, to rozpaczliwe próby przeciwstawiania się postaw emocjonalno-ideologicznych objektywnym racjom życia. W teorji «Lebensraum»u mieści się pewna doza prawdy, choć ujętej w sposób zwyrodniały. Żaden naród europejski nie może dziś wyżyć w granicach swego państwowego stanu posiadania. Każdy wymaga dla siebie jakiejś przestrzeni życiowej. Ale może znaleźć ją tylko w nowej organizacji świata, w Europie scałkowanej, gdzie dla każdej gospodarki narodowej będą szeroko otwarte granice i gdzie będzie osiągnięta ogólna współpraca. Europa może stać się przestrzenią życiową dla swoich czterystu miljonów mieszkańców.

Ale istnieją również i kulturalne przesłanki jedni europejskiej. Należymy wszyscy do euramerykańskiego kręgu cywilizacyjnego. Nasze kultury narodowe są regjonalnemi odrębnościami pewnego typu zasadniczego, wspólnego dla dużej części mieszkańców tej ziemi. Jesteśmy złączeni przez styl życia, przez systemy wartości, przez technikę, przez obyczaje i wierzenia, przez sposoby reagowania na fakty społeczne. Ta jedność istnieje, choćby jej zaprzeczał nacjonalizm kulturalny, choćby starały się ją zniszczyć najdziksze ekstrawagancje nazizmu i proletkultu. Rasizm narodowo-socjalistyczny jest tylko wielką herezją, jest buntem pychy regjonalnej jednego z najmniej dojrzałych elementów świata europejskiego. To samo da się powiedzieć o bolszewizmie — o ile Rosję zaliczymy do Europy. My wszyscy przecież jesteśmy Europejczykami, choć nie zawsze sobie z tego zdajemy sprawę.

I tu właśnie występuje tak pospolita rozbieżność pomiędzy objektywnie istniejącym faktem a jego subjektywnem odbiciem w świadomości ludzkiej. Objektywnie istnieją dane powstania wspólnoty europejskiej, dane gospodarcze i kulturalne. Nie odpowiadają im jednak w świadomościach ludzkich wyraźne, zdecydowane postawy, mocne aktywiary, wiodącej do działań. A mimo to owe dane objektywne, przedewszystkiem natury gospodarczej, narzucają pewne konieczności życiowe — scałkowania Europy. I nic dziwnego, że cała historja Europy powojennej wypełniona była przez próby scałkowania i że taką próbą jest i wojna obecna.

Zasadniczo rzecz biorąc, można mówić o trzech próbach czy o trzech koncepcjach Europy scałkowanej. Pierwsza z nich jest już dziś raczej kategorją historyczną. Ze starcia się drugiej i trzeciej wynikła wojna obecna. Toczy się ona o to, która z tych koncepcyj zwycięży i w jakim kształcie wystąpi przyszła Europa.

Bolszewizm dążył do scałkowania Europy przez utworzenie drogą rewolucji społecznej bezklasowego społeczeństwa socjalistycznego. Próbie tej zadała cios śmiertelny bitwa pod Warszawą w sierpniu r. 1920, dobił ją dalszy rozwój wypadków światowego i polityka Stalina. W rzeczywistości była to próba beznadziejna. Rewolucja bolszewicka, przy całej sile swego oddziaływania na inne kraje, była wytworem warunków specyficznie rosyjskich. Bolszewizm był dzieckiem rosyjskiego uwstecznienia kulturalnego, gospodarczego, politycznego. Poza równinami Eurazji miał on bardzo mało do powiedzenia. Zresztą wraz z porażką Trockiego skończyły się jego pretensje światoburcze. Komintern zamienił się w sekcję G. P. U. czy urzędu propagandy państwa sowieckiego.

Zdaje się być rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by bolszewizm mógł jeszcze odegrać jakąś poważniejszą rolę w dziele organizowania Europy. Pomijamy tu ocenę takiej Europy zorganizowanej przez bolszewizm! Niewątpliwie może on światu sprawić jeszcze dużo kłopotu i byłoby wielkim błędem traktować go jako «quantité négligeable». Lecz do ekspansji w wielkim stylu nie jest już dziś zdolny. Zżarty przez stalinizm, przez biurokrację, wyjałowiony z żywszych treści, wytrzebiony z elementów bardziej samodzielnych, stał się olbrzymiem cielskiem pozbawionem ducha. Sowiety zdolne są do wojen zaborczych ze słabymi, ale wyzbyły się jakiejkolwiek idei ogólniejszej. Pakt z Niemcami, najazdy na Polskę i Finlandję, opanowanie Bałtyku, były faktycznie równorzędne ze zrezygnowaniem z planów na wielką skalę, były zredukowaniem bolszewizmu do ram rosyjskich, do polityki, prowadzonej na chwałę Stalina i rządzącej biurokracji. Doprawdy, pretensje komunizmu do roli twórcy nowej Europy nie wyglądają groźnie. Zszedł on dziś na margines wielkich zmagań epoki i chyba już wyjść z niego nie potrafi. Kto inny, inne moce walczą dziś o kształt przyszłej rzeczywistości europejskiej.

III

W wojnie obecnej chodzi przedewszystkiem o to, czy organizacja Europy znajdzie się w rękach Hitlera czy związku anglo-francuskiego. Wojna toczy się o tę organizację, o to, kto jej dokona, a tem samem i o to, jaka będzie przyszła Europa. Stan dotychczasowej anarchji trwać dalej nie może. Był on spadkiem po wojnie poprzedniej. Wojna obecna wyrosła z konieczności jego przezwyciężenia.

Program organizacji Europy został z doskonałą wyrazistością sformułowany przez hitleryzm. Zaiste, zdumiewająca była naiwność tych wszystkich, którzy z filozofji rasizmu wyciągali wnioski uspokajające dla reszty świata. Takich naiwnych czy robiących naiwność nie brakło i u nas, w Polsce przedwojennej. Skoro Rzesza — twierdzili oni — przyjmuje zasadę rasową, to chcąc z nią być w zgodzie, nie będzie podbijała innych krajów, gdyż inaczej będzie się musiała obciążyć elementami obcorasowemi. W zaborze Czech widziano nawet niekonsekwencję, sprzeniewierzenie się fundamentalnej idei rasizmu. W rzeczywistości nie było tu żadnego sprzeniewierzenia się, a ludzie, którzy tak mówili, dali świadectwo całkowitego nierozumienia ideologji rasistowskiej.

François Perroux, autor książki p. t. «Des mythes hitlériens à l'Europe allemande», słusznie zwraca uwagę, że francuskie pojęcie «naród (nation)» jest czemś zupełnie różnem od powszechnie używanego przez Niemców pojęcia «Volk». Dla Niemca istotny jest «lud» rozumiany jako wspólnota rasowa, ogarniająca wszystkich Niemców, niezależnie od ich formalnej przynależności państwowej. Niemieckie państwo narodowe jest instrumentem politycznym tego ludu i służy jego celom. Lecz hierarchicznie rzecz biorąc, on to jest wartością nadrzędną. Stąd pojęcie granic państwowych nie ma znaczenia istotnego. Uczestnikiem zbiorowości ludowo-rasowej jest każdy Niemiec, niezależnie od tego gdzie się znajduje, a tem samem tam gdzie się znajduje, leży sfera interesów ludu niemieckiego i istnieje teren działalności dla państwa niemieckiego. W ten sposób państwo niemieckie zamienia się w faktyczną wspólnotę wszystkich Niemców i ogarnia wszelkie tereny ich poczynań życiowych. A że znaczna część Niemców żyje w rozproszeniu, że niema takiego zakątku świata, gdzieby się któryś z nich nie znalazł, przeto faktycznie i teoretycznie dynamizm Trzeciej Rzeszy obejmuje całą kulę ziemską.

Do tego dołącza się pogląd na ogólnoludzką funkcję Niemców jako rasy wybranej o najwyższych właściwościach magicznych. W poglądzie tym mieści się implicite idea nie tylko prawa, ale wręcz obowiązku Niemca, przewodzenia reszcie świata, panowania nad innemi ludami i rasami. Jest to misja, którą niesie naród niemiecki i którą, mimo wszelkie przeciwieństwa, musi spełnić.

Z tej filozofji wynika konkretny obraz świata, zorganizowanego przez lud niemiecki. Jego struktura polegałaby na ścisłym podziale ról pomiędzy Niemcami a nie-Niemcami. Tamtym przypadłyby funkcje rządzenia, kierowania, przewodzenia. Ci stanowiliby masę wykonawców, niewolników, byliby mierzwą dla rasy rządzącej. Coś więc w rodzaju Sparty, tylko że rozszerzonej na cały świat i upotężnionej przez całą moc, jaką daje technika współczesna.

Wszystko razem nie są to fantazje literatów, majaczenia mistyków politycznych. Są to rzeczy, w które wierzą miljony Niemców i które z fanatyczną wiarą starają się realizować. Jest w tem znacznie więcej z religji niż z ideologji politycznej. W ojczyźnie Lutra doszło do nowej rewolucji religijnej, przy której poprzednia zdaje się być czemś idylicznem i naiwnem.

W tym micie religijnym rola Niemców jest bardzo wyraźna. Ale nie mniej wyraźne są losy naszej kultury, losy tych wartości, któremi żyjemy i które stanowią rację naszego istnienia. Potworny byłby świat, gdyby taki mit miał stać się rzeczywistością. Tryumfująca herezja hitlerowska wydarłaby nam to co stanowi największą wartość życia: osobowość, wolność, prawo jednostki do twórczości — same podstawy naszej kultury.

Tej szatańskiej religji nie wystarcza przeciwstawiać same tylko postawy obronne. W kulturze naszej tkwią wspaniałe wartości pozytywne o uniwersalnem znaczeniu, wartości wiecznie żywe, dla których trzeba żyć i za które trzeba umierać. Dziś zagrożone nabierają nowej powagi i mocy. Stają się źródłem głębokich przeżyć, treścią najgłębszych wzruszeń religijnych.

I one stać się mogą podstawą dla drugiej wizji organizacyjnej Europy która da się wyrazić w sposób realistyczny, w postaci konkretnego programu politycznego. Z zamętu wojny dzisiejszej wyłania się nowa koncepcja organizacji Europy; ta jedynie organizacja zdolna będzie utrzymać porządek i zapewnić rozwój kulturze europejskiej.

IV

Jest ona dana w ścisłem zbliżeniu angielsko-francuskiem i w uznaniu przez Anglję, że kontynent europejski stanowi sferę jej bezpośrednich interesów życiowych, że jest terenem jej działań i rozstrzygnięć historycznych. Aby to nastąpiło, potrzebne było rozlanie się fali imperjalizmu niemieckiego i wybuch nowej wojny europejskiej. Ale to już nastąpiło i stało się faktem o epokowem znaczeniu.

Przedewszystkiem skończył się i chyba nigdy się nie odnowi ukryty konflikt obu zachodnich demokracyj. Ich deklaracja mówi o najściślejszem współdziałaniu także wtedy, gdy nastanie pokój. Wspólne dowództwo, wspólna polityka zagraniczna, wspólna organizacja gospodarcza Anglji i Francji są dziś faktami dominującemi nad całą sytuacją. Dla Anglików ojczyzna rozszerza się o Imperjum Francuskie, dla Francuzów — o Imperjum Brytyjskie. Nie brak w obu krajach ludzi, którzy z dumą nazywają siebie Anglo-Frankami czy Franko-Brytami. Hitler dokonał tu dzieła, którego dotąd najlepsza wola jednostek, rozumiejących sens dzisiejszych procesów historycznych, dokonać nie potrafiła.

W ten sposób znika podstawowa przyczyna dotychczasowej anarchji europejskiej. Zostaje przywrócona równowaga, kształtuje się stan, który z natury rzeczy musi być wymierzony przeciwko siłom, starającym się na skłóceniu narodów wznieść gmach swoich rządów. Zarazem nie chodzi tu o stan równowagi przejściowej, o doraźną koalicję dla osiągnięcia celów doraźnych.

W odróżnieniu od wojny poprzedniej, chodzi tu o związek trwały, który ma osiągnąć cele trwałe i konstruktywne. Niesie on wielką koncepcję organizacyjną, w której zwycięstwie mieści się zbawienie mniejszych narodów i zbawienie naszej kultury wogóle. To co najlepsze w tradycjach historji europejskiej, uosabia się dziś w związku angielsko-francuskim. Pod rządami Jerzego VI człowiek wolny może żyć i rozwijać się. Pod rządami Hitlera czy innego z wodzów totalistycznych — musi zginąć.

Europa istnieć może tylko jako całość. Ta całość może być osiągnięta albo przez podbój Europy i utrwalenie panowania niemieckiego, albo przez skupienie się wolnych narodów przy Anglji i Francji. W tym wypadku powstaje nowa forma organizacyjna, która zapewnia narodom pełnię rozwoju i otwiera przed niemi rozległe perspektywy. Obszar życiowy każdego z nich rozszerza się o cały teren europejski, faktycznie zaś, dzięki istnieniu obu imperjów — o cały świat. Oczywiście, ta nowa forma organizacyjna będzie wymagała gruntownej rewizji wielu dotychczasowych pojęć, dotąd uważanych za bezsporne. Nie do utrzymania staje się idea absolutnej suwerenności państwowej, rewizji musi ulec koncepcja państwa narodowego, tracą swój sens hasła nacjonalizmu politycznego, gospodarczego czy kulturalnego. Wypadnie zrezygnować z wielu ambicyj — z ambicyj, które zresztą okazały się groźnemi złudzeniami. Wzamian za to odnajdziemy wielką rozszerzoną ojczyznę europejską.

Do tego zmuszają konieczności życiowe. Stan rzeczy, jaki istniał pomiędzy latami 1919 — 1939, prowadził do katastrofy. Dziś coraz lepiej zdajemy sobie sprawę, jak tragiczna była epoka pomiędzy obu wojnami. Tkwiące w niej źródła zła muszą być przezwyciężone, choćby za cenę niemałych ofiar. Gra idzie o olbrzymią stawkę.

Wojna obecna staje się punktem zwrotnym w dziejach ludzkości, a zwłaszcza naszej Europy. Anglja weszła na kontynent europejski, na cały kontynent. Losy Imperjum Brytyjskiego decydują się w Europie i odtąd stają się z nią najściślej związane. Narody europejskie muszą wyciągnąć wniosek z sensu rozgrywających się wydarzeń. Jeżeli chcą istnieć, losów swych nie będą mogły oddzielić od losów Wielkiej Brytanji. Albo Hitler albo Jerzy VI.

Dyskutuje się nieraz zagadnienie, czy wojna obecna jest ideologiczna. Niewiele w dziejach ludzkości było wojen tak ideologicznych, jak obecna. Podobne do niej były wyprawy krzyżowe i wojny wielkiej rewolucji. Oczywiście wojna dzisiejsza, jak każda wojna, ma różne aspekty. Splatają się w niej różne intencje, różne cele. Ale dominujące znaczenie ma właśnie aspekt ideologiczny. On góruje nad zagadnieniami przesunięć granicznych, nad momentami gospodarczemi i politycznemi. Wojna ma odpowiedzieć na pytanie: czy człowiek jako wolna jednostka będzie mógł żyć, będzie mógł tworzyć i rozwijać się? Czy też stanie się niewolnikiem, najnędzniejszym z helotów? Czy Europejczycy odnajdą swoją europejską ojczyznę, rozwijającą tradycje europejskiej kultury?

I właśnie ów moment ideologiczny nadaje w stopniu szczególnym wojnie dzisiejszej charakter potężnego wstrząsu dla całej ludzkości. Ta «drôle de guerre» jest rzeczywiście wojną osobliwą. Jest ona czemś więcej niż wojną. Równa się wielkiej rewolucji, wielkiemu przewrotowi, z którego wyrasta nowa ojczyzna — Europa.

O rolę organizatorów tej ojczyzny walczy Anglja związana z Francją i walczą Niemcy. Sytuacja jest jasna, wybór oczywisty. I dlatego ludzie wolni a kulturze europejskiej oddani, bez względu na swą narodowość, katolicy i protestanci, bezwyznaniowcy i żydzi, konserwatyści i socjaliści, mogą być zgodni w najszczerszem wołaniu:

«God save the King!».

ALEKSANDER HERTZ.

ANTONI SŁONIMSKI

Przekleństwo

Za to, że Polska jest dziś raną krwawą,
Za to, że miasto moje rodzinne
Nigdy już dawną nie będzie Warszawą,
Że nie zobaczę już Teatru Wielkiego i Zamku,
Że z ulic moich lat dziecięcych
Zostały pogorzeliska gruzów i odłamków,
Za to, że brat mój jest głodny,
Za to, że mój przyjaciel spodlał,
Za to, że Tadeusz jest w niewoli,
Za to, że dzieci Ireny są w nędzy,
Za to, że Jan się ukrywa,
Śpi na strychu w domu ludzi obcych,
Za to, że piętnastoletni chłopcy
Pracują bici i umierają z ran,
Za rozpacz konających,
Za to, że nad całym światem
Rozpętała się wojna straszliwa,
Że lotnicy giną w płomieniach,
Że okręty nie śpieszą na pomoc tonącym,
Za to, że moje sny są krwawe i okrutne,
Że marzę o zabijaniu,
Że nienawiść już tylko mam w sercu —
Przeklinam Niemców.
Za pohańbione człowieczeństwo,
Za to, że idą bez buntu,
Za pychę, za okrucieństwo
Niesyte i zawzięte,
Za kłamstwa, za czyny zdradzieckie —
Wszystko co jest niemieckie
Niech będzie na wieki
Przeklęte.

ANTONI SŁONIMSKI.

SIR NEVILE HENDERSON

JAK WYBUCHŁA WOJNA

przełożył OBSERVER

fragmenty z książki „NIEUDANA MISJA"

Ukazanie się książki Sir Nevile'a Hendersona, b. ambasadora Wielkiej Brytanji w Berlinie, p. t. „Nieudana misja" („Failure of a Mission"), przyjęła brytyjska opinja publiczna z mieszanemi uczuciami. Dość jednogłośnie uznano, że książka jest niezmiernie ciekawa, że Sir Nevile okazał wielki talent dziennikarski i narratorski, że jest bystrym obserwatorem i że potrafił zgromadzić i oświetlić wiele faktów w sposób nader interesujący.

Nieco mniej przychylnie wypadła opinja o działalności politycznej Sir Nevile'a Hendersona w Berlinie. Nie tylko w organach liberalnych, ale i w prasie konserwatywnej, jak np. w „Daily Telegraph", ukazały się głosy krytykujące zbyt uporczywie pacyfistyczne i ugodowe stanowisko Sir Nevile'a wobec Hitlera. Posypały się zarzuty, że dla Sir Nevile'a nie było właściwie granic ustępstw, że on właśnie był jednym z promotorów tej polityki rezygnacji, której ukoronowaniem stało się Monachjum 1938 r.

Niewątpliwie, tak było, i sam zresztą Sir Nevile temu nie zaprzecza, a nawet — wręcz przeciwnie — uważa, że jego zadaniem, jego misją, było doprowadzić do porozumienia pomiędzy Niemcami i Wielką Brytanją. Sam również nazwał swą książkę „Failure of a Mission" („Niepowodzenie misji"), dając w tytule tym kwintesencję treści.

Zdajemy sobie w pełni sprawę z tendencyj, których wyrazem była berlińska misja Sir Nevile'a Hendersona. Niepowodzenie tych tendencyj uznane jest dziś już nie tylko przez prasę brytyjską wszystkich odcieni, ale przez samych ich wyznawców. Z uwagi na ciekawe, a nieznane szerszemu ogółowi fakty, datujące się z ostatnich dni przedwojennego sierpnia, drukujemy wyjątki z rozdziału XII książki Sir Nevile'a Hendersona, noszącego w oryginale tytuł: „Akt IV. Scena II: — Wojna".

W ciągu ostatniego miesiąca sytuacja napozór nie uległa zmianie. Zdawało się, że barometr stoi w miejscu, jednak pewne oznaki nieomylnie zapowiadały jego spadek. Z jednej stronv nie udawało się nadal nawiązać stosunków pomiędzy Berlinem a Warszawą i ambasadorowie obu państw w obu stolicach, jak Achilles, nie opuszczali swych namiotów. Obustronne zarzuty prześladowania mniejszości narodowych przybierały na ostrości, a podniecenie w Gdańsku rosło na tle coraz nowych pogłosek. Z drugiej strony, rokowania toczące się pomiędzy Londynem, Paryżem i Moskwą, zdawały się być ciągle jednakowo odległe od końca. Misje wojskowe francuska i brytyjska zapakowały wprawdzie swe walizy i dn. 11 sierpnia ruszyły wreszcie do Moskwy. Zdawać się więc mogło, że Stalin, starając się dobić targu najbardziej korzystnego dla interesów rosyjskich, jednak zdecydował się na współpracę w tej czy innej formie z mocarstwami zachodniemi celem przeciwdziałania nowej agresji niemieckiej, równocześnie wszakże Moskwa zdradzać zaczęła wysoce niepokojące tendencje, dając do zrozumienia że żąda swobody działania wobec państw bałtyckich. Coraz wyraźniej wynurzać się począł właściwy cel dążeń sowieckich, a cień, rzucany przez Niemcy na nową sytuację, powstającą pomiędzy Rosją i mocarstwami zachodniemi, kładł się ciężarem na szali, przechylając ją wyraźnie na niekorzyść Francji i Wielkiej Brytanji. Nie mogły bowiem te państwa zaprzedać honoru i wolności małych państw, jak mogła to bez skrupułów uczynić Rzesza.

Wolno żywić nadzieję, że pewnego dnia wyjaśniona będzie kwestja stanowiska Stalina, że — mianowicie — wyjaśnione będzie, czy w zmowie z Hitlerem przeciągał on umyślnie rokowania z demokracjami zachodniemi aż do chwili, kiedy Niemcy gotowe będą do uderzenia, czy też okpiwał równocześnie Niemcy i państwa zachodnie.

Ja, osobiście skłaniam się raczej ku drugiej hipotezie, ale — powtarzam — jest to moja opinja osobista. Przyglądając się zdaleka rokowaniom z Rosją, byłem zdania, że jest to próba potrzebna, ale nierealna. Nie wierzyłem nigdy w możliwość udzielenia Polsce przez Rosję pomocy efektywnej i bezinteresownej. Spodziewałem się najwyżej, że Hitler zdecyduje się na postępowanie ogląedne i rozpocznie rokowania o pokojowe załatwienie sporu, skoro Stalin — wbrew własnemu przekonaniu — przyłączy się wreszcie do frontu pokoju. Byłem jednak zawsze przekonany, że właściwym i głównym celem Moskwy jest rzucenie na siebie Niemiec i mocarstw zachodnich, doprowadzenie ich do ruiny i wyciągnięcie dla siebie z tej sytuacji wszystkich korzyści, jako tertium gaudens. Taka była również aż do końca sierpnia opinja wszystkich Niemców — od Hitlera aż do dołu — ilekroć wspominało się o naszych rokowaniach z Rosją.

Poruszyłem tę sprawę w rozmowie z Hitlerem w Berchtesgaden, dn. 23 sierpnia. Ribbentrop był wówczas w Moskwie, gdzie właśnie podpisywał pakt niemiecko-rosyjski, a Hitler długo i tryumfalnie wykładał mi korzyści i znaczenie nowego, trwałego i ostatecznego — w jego przekonaniu — przymierza. Przypomniałem mu dawne jego stanowisko wobec Sowietów i wyraziłem zdanie, że przyjaźń z Rosją może się dlań okazać bardziej niebezpieczna, niż wzajemna nienawiść. Mówiąc ściśle w imieniu własnem i biorąc pod uwagę tylko przesłanki moralne, podnosiłem że jeżeliby miało dojść do podpisania paktu z Rosją, w której komunizm stał się tylko zasłoną, kryjącą gwałtowny nacjonalizm o wielce podejrzanych pobudkach i celach ostatecznych — wolę by ten układ podpisały Niemcy, niż my. Przez chwilę Hitler był wyraźnie zmieszany i zbity z tropu. Zaczął mi jednak tłumaczyć, że wszystko stało się z naszej winy. To my rzuciliśmy go w ramiona Rosji. Była to oczywiście odpowiedź człowieka, szukającego usprawiedliwienia.

Dn. 17 sierpnia antypolska kampanja prasy niemieckiej osiągnęła napięcie szczytowe. Przed tym dniem jeszcze podjęto jednak z dwóch różnych stron próbę wylania oliwy na wzburzone fale. Najprzód więc w czasie gwałtownej wymiany not pomiędzy Polską i Niemcami *), dr. Burckhardt, wysoki komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, udał się samolotem do Berchtesgaden celem podjęcia ostatniej próby bardziej zadowalającego ułożenia stosunków gdańskich. Rozmawiał z Hitlerem dn. 11 sierpnia. Kanclerz Rzeszy był nieprzejednany, ale dość niezdecydowany. Nie znał on jeszcze treści noty polskiej z dn. 10 sierpnia, dopiero co zakomunikowanej ministerstwu spraw zagranicznych w Berlinie, bo byłby wówczas już gwałtowniejszy. Niezdecydowanie jego pochodziło zaś stąd, że nie był jeszcze poinformowany o rezultatach odbywającego się równocześnie w Salzburgu spotkania swego ministra spraw zagranicznych z ministrem swego sojusznika, Mussoliniego.

Jak już wspominałem, pełna gróźb mowa Goebbelsa, wygłoszona w Gdańsku, wywołała we Włoszech pewien niepokój. Mussolini przyczynił się w dużym stopniu do utrzymania pokoju w Monachjum i starał się odegrać tę samą rolę w 1939 r. Była to druga z tych prób wylania oliwy na wzburzone fale, o których właśnie mówię. Mussolini miał próbę taką ponowić później raz jeszcze, już po nadejściu września. Bez wątpienia widział on, że Europa zbliża się ku wojnie i że jeżeli nie uda się zażegnać niebezpieczeństwa natychmiastowem działaniem, wówczas Włochy mogą być wciągnięte w zawieruchę. Mussolini podjął więc kroki, zmierzające do dojścia do skutku spotkania hr. Ciano, włoskiego ministra spraw zagranicznych, z von Ribbentropem, w zamku który minister spraw zagranicznych Rzeszy niedawno nabył w okolicach Salzburga.

Spotkanie nastąpiło dn. 11 sierpnia, w tym samym dniu, kiedy dr. Burckhardt rozmawiał z Hitlerem w odległem o pięćdziesiąt kilometrów Berchtesgaden. Wydawało się prawdopodobne, że hr. Ciano — jak we wrześniu — zaproponuje coś w rodzaju konferencji międzynarodowej. Jeszcze przed dziesięcioma dniami Hitlerowi byłoby trudno nie wziąć poważnie pod uwagę podobnej propozycji. Ale raz jeszcze zjawiało się fatum tragedji greckiej i wraz z niem oczywista odpowiedzialność Hitlera. Wymiana ostrych not w Gdańsku oraz pomiędzy Berlinem i Warszawą odbyła się w przededniu wizyty hr. Ciano. Po odbyciu rozmowy z von Ribbentropem dn. 11 sierpnia, hr. Ciano udał się dn. 12 sierpnia do Hitlera który otrzymał już notę rządu polskiego z dn. 10 sierpnia i potrafił przed ministrem włoskim odegrać rolę strony obrażonej, odrzucając na tej podstawie propozycję konferencji międzynarodowej.

W chwili gdy von Ribbentrop przygotowywał się do odlotu do Moskwy, dn. 22 sierpnia na krótko przed godz. 21, otrzymałem instrukcje przekazania Hitlerowi bez zwłoki osobistego listu premiera Chamberlaina. Sekretarz stanu pojechał na lotnisko, celem pożegnania odlatującego do Moskwy von Ribbentropa, ale udało mu się przyłapać p. Hewela, urzędnika łącznikowego pomiędzy ministerstwem spraw zagranicznych i kancelarją Rzeszy, który okazał mi wiele dobrej woli i zrozumienia.

Zdołałem zresztą jeszcze później, wieczorem, porozumieć się z p. Weizsäckerem, podsekretarzem stanu w ministerstwie spraw zagranicznych.

W ciągu nocy, po kilku rozmowach telefonicznych, ustalono, że spotkanie moje z Hitlerem nastąpi nazajutrz w Berchtesgaden. Opuszczałem więc Berlin dn. 23 sierpnia o godz. 9.30, w towarzystwie pp. Weizsäckera i Hewela, samolotem oddanym do mojej dyspozycji przez ministerstwo spraw zagranicznych. W ciągu tej podróży, trwającej zaledwie około dwóch godzin, znów uporczywie trzymała mi się myśl o fatum tragedji greckiej. Jeszcze przed tygodniem pismo, które wiozłem, mogło odnieść skutek, ale obecnie na sytuacji ciążył już układ niemiecko-rosyjski.

Wylądowałem w Salzburgu około południa i o godz. 13 miałem już pierwszą rozmowę z Hitlerem w Berchtesgaden. Przy rozmowie asystowali baron von Weizsäcker i p. Hewel.

Podczas pierwszej z dwóch rozmów, jakie odbyłem tego dnia z Hitlerem, był on w stanie ostatecznego rozdrażnienia. W tonie podnieconym zarzucał gwałtownie rządom Wielkiej Brytanji i Polski wspólną odpowiedzialność za postawę Polaków. Mówił o stu tysiącach uciekinierów niemieckich z Polski, przesadzając prawdopodobnie pięciokrotnie. Raz jeszcze nie potrafiłem sobie zdać sprawy z tego, czy był on sam przekonany o tem co mówi, czy też usiłował siebie samego przekonać. Podczas drugiego naszego spotkania, kiedy mi doręczył swą odpowiedź, był już znacznie spokojniejszy, ale równie stanowczy. Wszystko było winą Anglji. Ona to w ub. r. zachęcała do oporu Czechów i ona wystawiła obecnie czek in blanco Polakom. Nie może — mówił mi dalej — mieć nadal zaufania do p. Chamberlaina. Woli prowadzić wojnę, mając lat pięćdziesiąt, aniżeli pięćdziesiąt pięć czy sześćdziesiąt. On, osobiście, zawsze poszukiwał przyjaźni z Anglją i wierzył w jej możliwość. Obecnie przekonał się, że ci którzy w tę przyjaźń nie wierzyli, mieli słuszność. Tylko całkowita zmiana polityki brytyjskiej wobec Niemiec mogłaby go przekonać o istnieniu ze strony brytyjskiej szczerej chęci utrzymania dobrych stosunków. Ostatnią uwagą, jaką uczyniłem, było wyrażenie przekonania, że jedyny wniosek, jaki mi ze słów jego wolno wyciągnąć, jest iż misja, którą miałem do spełnienia w Niemczech, nie powiodła się, czego prawdziwie żałuję.

Tegoż wieczoru powróciłem samolotem z Berchtesgaden do Berlina. Nie miałem ani przez chwilę nadziei, że list premjera Chamberlaina lub moje własne, szczere i stanowcze słowa skłonią Hitlera do namysłu. Wydawało mi się, że pakt rosyjski — jego zdaniem — stworzył sytuację dogodną do realizacji jego planów i że postanowienie jego było ostatecznie powzięte. Mimo że w iście neronskim nastroju mówił o swych artystycznych upodobaniach i o swem gorącem pragnieniu zaspokojenia ich, odniosłem wrażenie, że kapral z poprzedniej wojny ma znacznie większe pragnienie pokazania, co potrafi w wojnie przyszłej zdziałać jako wódz i zdobywca.

Być może, że Hitler po otrzymaniu listu premjera Chamberlaina zawahał się jeszcze po raz ostatni i dał rozkaz powstrzymania ataku, chociaż wszystkie inne zarządzenia wojenne weszły w życie zgodnie z ustalonym planem. Nie ulega jednak wątpliwości, że to nie widmo okropności wojennych i nie widmo śmierci, na którą wystawiał tylu Niemców, powstrzymały go od uderzenia. Pokładał bezgraniczne zaufanie w swej wspaniałej armji i w odbudowanem przez siebie lotnictwie. Bynajmniej nie odstręczała go myśl wystawienia swego aparatu wojennego na próbę w Polsce. W ciągu dwóch miesięcy, mówił mi, wojna na wschodzie będzie zakończona i wówczas, dodawał, będzie mógł sto sześćdziesiąt dywizyj rzucić na front zachodni, jeżeli Anglja będzie na tyle nieostrożna, że przeciwstawi się jego planom. Ostatnie jego wahanie przypisać należy raczej chęci dokonania ostatniej próby izolowania Polski od nas. Tak czy inaczej dn. 25 sierpnia o godz.12.45 zawiadomiono mnie, że Hitler pragnie ze mną mówić w kancelarji Rzeszy o godz. 13.30.

W toku tej rozmowy Hitler przedstawił mi nowe propozycje, podzielone na dwie grupy zagadnień: a) konieczność natychmiastowego załatwienia konfliktu pomiędzy Polską a Niemcami; b) oferta przyjaźni, a nawet przymierza z Wielką Brytanją. Moja wizyta u Hitlera, w obecności von Ribbentropa i dr. Schmidta, trwała około godziny. Hitler mówił spokojnie i z pozorną szczerością. Propozycje jego, mówił, są ostatnią próbą ustalenia dobrych stosunków z Wielką Brytanją, podjętą dla spokoju sumienia. Doradzał mi, bym samolotem udał się do Londynu i bym sam doręczył propozycję. Odpowiedziałem, iż jestem gotów to uczynić, ale uważam swój obowiązek zwrócić szczerze jego uwagę na fakt, iż Wielka Brytanja nie może cofnąć słowa danego Polsce i że jakkolwiek nasze pragnienie dojścia do porozumienia z Niemcami jest bez wątpienia bardzo żywe, może się to stać jednak tylko na podstawie osiągnięcia porozumienia z Polską.

Jakiekolwiekbądź mogły być istotne pobudki końcowego gestu Hitlera, nie mógł on być zignorowany i wobec tego za zgodą lorda Halifaxa, udałem się wczesnym rankiem dnia następnego — 26 sierpnia — do Londynu na pokładzie niemieckiego samolotu uprzejmie danego mi do rozporządzenia. Rząd JKMości w ciągu dwóch dni jak najbardziej szczegółowo przestudjował pismo Hitlera i dn. 28 sierpnia popołudniu, zmierzałem znów drogą powietrzną do Berlina z odpowiedzią. Zawierała ona potwierdzenie zobowiązań rządu JKMości wobec Polski, a równocześnie zawiadamiała, że rząd polski gotów jest rozpocząć z rządem niemieckim rokowania, mające na celu osiągnięcie rozsądnego rozwiązania sporu, zgodnie z podstawowemi interesami Polski. Rząd JKMości proponował gwarancję międzynarodową dla tego rozwiązania. Zgodnie z tem, rząd JKMości proponował dalej jako pierwszy krok na drodze do pozytywnego załatwienia konfliktu, rozpoczęcie na tej podstawie bezpośredniej wymiany zdań pomiędzy rządem polskim i niemieckim i przedsięwzięcie natychmiast środków, mających na celu złagodzenie napięcia wywołanego sprawami mniejszości narodowych.

Ta precyzyjna i szczera odpowiedź dawała Hitlerowi możliwość uniknięcia katastrofy wojennej, gdyby był tego rzeczywiście pragnął. Dawała mu jasno do wyboru rokowania, przy których korzystałby z dobrej woli pośrednictwa, zmierzającego do osiągnięcia kompromisu zadawalającego obie strony, — albo wojnę, w której znajdzie nas walczących u boku Polski, gdyby została zaatakowana. Odpowiedź ta dawała mu ostatnią możność, ale Hitler, wzmocniony przez swą zmowę z Rosją, nie chciał się zadowolić niczem innem niż tylko czwartym rozbiorem Polski.

Opuściłem Londyn dn. 28 sierpnia o godz. 17, i o godz. 22.30 Hitler przyjął mnie w kancelarji Rzeszy. Doręczyłem mu odpowiedź wraz z niemieckim przekładem jej tekstu. Hitler znów był miły i wydawał się nawet dość zadowolony z odpowiedzi, którą przywiozłem. Powiedział jednak, że musi ją starannie przestudjować i że swej pisemnej odpowiedzi udzieli nazajutrz.

Wiadomości, które doszły mnie dnia następnego, zdawały się świadczyć o pewnej poprawie atmosfery i przedstawiały ją jako wcale sprzyjającą możliwości okazania dobrej woli przez Hitlera i rozpoczęcia rokowań z Polakami.

Tem bardziej więc zdziwiło mnie przyjęcie, jakie mi zgotowano w kancelarji Rzeszy, dokąd wezwany zostałem na godzinę 19.15. Wprawdzie — powinny mnie były na to przyjęcie przygotować południowe dzienniki niemieckie, donoszące o rzekomem zamordowaniu w Polsce sześciu Niemców. Zmyśloną od początku do końca krwawą opowieść sfabrykowały prawdopodobnie czynniki skrajne, prące do rozwiązania wojennego, a obawiające się że Hitler może się jeszcze cofnąć. Falsyfikat ten, podsunięty Hitlerowi równocześnie z wiadomością o zarządzeniu mobilizacji w Polsce, obliczony był wyraźnie na rozdrażnienie go. W każdym razie czułem, że Hitler wręczając mi swą odpowiedź, jest bardziej nieprzejednany niż poprzedniego wieczoru.

W doręczonym mi dokumencie, Niemcy żądały rewizji traktatu wersalskiego przez powrót do Rzeszy Gdańska i «korytarza», oraz domagały się zapewnienia egzystencji niemieckiej grupie narodowej na terenach, które miały pozostać przy Polsce. W odpowiedzi na brytyjską propozycję wszczęcia bezpośrednich rokowań niemiecko-polskich i międzynarodowej gwarancji dla nowego układu, odpowiedź niemiecka dawała najprzód wyraz swym wątpliwościom na temat możliwości dojścia do porozumienia, ale wyrażała wreszcie zgodę na bezpośrednie rokowania z Polską jedynie w imię zapewnienia sobie trwałej przyjaźni Wielkiej Brytanji. Lecz — dodawała odpowiedź — w razie jakichkolwiek zmian terytorjalnych, rząd niemiecki nie będzie w stanie wziąć na siebie żadnego zobowiązania o charakterze gwarancyjnym, ani uczestniczyć w takiem zobowiązaniu bez uprzedniego naradzenia się z Z. S. R. R.

Przeczytałem uważnie dokument aż do końca, pod wzrokiem Hitlera i von Ribbentropa i — mimo niepokojącego ustępu, mówiącego o Moskwie — nie uczyniłem żadnej uwagi, aż do ostatniego zdania, które głosiło, że «rząd niemiecki liczy iż wysłannik polski, wyposażony w pełnomocnictwa, przybędzie do Berlina nazajutrz, dn. 30 sierpnia». Zwróciłem uwagę Hitlerowi, iż zdanie to brzmi jak ultimatum («hatte den Klang eines Ultimatums»). Hitler, podtrzymywany przez von Ribbentropa, zaprzeczył temu stanowczo i gorąco.

Opuszczałem tego wieczora kancelarję Rzeszy pełen złych przeczuć. Powtarzając swe zapewnienia o chęci zjednania sobie przyjaźni Wielkiej Brytanji, Hitler zastrzegł się jednak, iż nie ma zamiaru w imię tej przyjaźni poświęcać tego co nazywał życiowemi interesami Niemiec. Kiedy protestowałem przeciwko zakreślaniu terminu przybycia pełnomocnika polskiego, powiedział mi wyraźnie, że sztab generalny wywiera nań nacisk i domaga się decyzji.

Moi żołnierze — mówił — pytają mnie «tak czy nie?». Jego armja i lotnictwo były gotowe do uderzenia już od dn. 25 sierpnia. Sztab mówił mu, że zmarnowano już jeden tydzień i że nie wolno marnować jeszcze jednego, gdyż nadejście słoty jesiennej w Polsce może działać na rzecz nieprzyjaciela. Pokój, sąsiadujący z jego gabinetem, który mijałem, zdążając ku wyjściu, pełen był oficerów, pomiędzy którymi rozpoznałem generałów Keitla i Brauchitscha. Obecność ich nie mogła przyczynić się do rozproszenia moich obaw.

Pytałem Hitlera co rozumie pod słowem «interesy życiowe». Odesłał mnie do tekstu odpowiedzi, w której rząd niemiecki oświadczył gotowość opracowania natychmiast propozycyj, mających na celu rozwiązanie zagadnienia polskiego i zobowiązywał się przedstawić propozycje rządowi brytyjskiemu przed przybyciem polskiego pełnomocnika.

Wszystko zdawało się więc zależeć od dwóch rzeczy: z jednej strony od charakteru tych propozycyj, a z drugiej — od natychmiastowej zgody rządu polskiego na wysłanie do Berlina negocjatora lub pełnomocnika. Pierwszy z tych dwu warunków był ode mnie niezależny, ale starałem się uzyskać spełnienie drugiego i jeszcze tegoż wieczora prosiłem ambasadora Polski o przybycie do mnie w czasie, kiedy redagowałem depesze do Londynu. Zakomunikowałem koledze polskiemu treść odpowiedzi niemieckiej i mojej rozmowy z Hitlerem, starając się dać mu do zrozumienia konieczność natychmiastowego działania.

Nie miałem nigdy złudzeń na temat możliwości stawienia przez Polskę oporu przez czas dłuższy silnie zmotoryzowanej armji niemieckiej i miażdżącej przewadze lotnictwa. Nigdy nie ukrywałem tej opinji przed moim polskim kolegą i dlatego prosiłem go gorąco, w interesie Polski, żeby wpłynął na swój rząd celem zamianowania bez zwłoki przedstawiciela, upoważnionego do przeprowadzenia rokowań w Berlinie. Nie miałem jednak złudzeń również co do znaczenia takiego rozwiązania i równocześnie depeszowałem do lorda Halifaxa, zawiadamiając go że Hitler postanowił dopiąć celu albo drogą pokazania swej siły, a jeżeli to nie pomoże — drogą jej użycia.

«Rezultatem może być tylko wojna lub nowe zwycięstwo Hitlera, osiągnięte przez okazanie siły, co będzie zachętą do użycia podobnej metody za rok lub za dwa».

Rozmawiałem z von Ribbentropem dokładnie o północy, czyli o godzinie, do której rząd niemiecki ostentacyjnie oczekiwał przybycia do Berlina pełnomocnika polskiego. «Ostentacyjnie», powiadam, trudno bowiem sobie wyobrazić, aby ani Hitler, ani jego minister spraw zagranicznych nie zdawali sobie sprawy, że nie można liczyć na przybycie pełnomocnika polskiego, mającego się zjawić w Berlinie bez znajomości nawet podstaw propozycyj, na których temat miał rokować. Rzecz oczywista, że dowódcy wojskowi nalegali na Hitlera, tłumacząc mu iż nawet dwudziestoczterogodzinna zwłoka może narazić na ryzyko złej pogody i opóźnienie działań wojennych w Polsce. Trudno nie żywić przekonania, że same propozycje były tylko piaskiem, rzuconym w oczy świata, i że sam nawet rząd niemiecki nigdy nie brał ich poważnie.

Kiedy skończyłem odczytywać von Ribbentropowi komunikaty, wydobył on dość długi dokument i zaczął mi go czytać po niemiecku, niesłychanie szybko i w tonie najwyższego rozjątrzenia.

Z szesnastu artykułów, które składały się na ów dokument, mogłem uchwycić sens najwyżej pięciu lub sześciu. Było jednak zupełnie niemożliwe, bym mógł ręczyć za dokładną treść i tych nawet kilku artykułów, nie mając możliwości dokładnego zapoznania się z ich treścią. Kiedy skończył, poprosiłem go by mi dał spojrzeć na dokument. Ribbentrop, dla którego brutalność zawsze była synonimem siły, odmówił kategorycznie i pogardliwym gestem rzucił papier na biurko, oświadczając, że jest on już nieaktualny («überholt») wobec niezjawienia się wysłannika polskiego w Berlinie do północy.

Zauważyłem, że w takim razie zdanie końcowe noty niemieckiej z dn. 29 sierpnia, na które poprzedniego wieczoru zwróciłem uwagę zarówno jego jak i Führera, oznaczało jednak ultimatum, pomimo kategorycznych zaprzeczeń ich obu. Ribbentrop odpowiedział mi na tę uwagę, że ultimatum było wymysłem, powstałym w mojej głowie.

Powracałem tego wieczoru do ambasady JWMości w przedświadczeniu, że rozwiała się ostatnia nadzieja na utrzymanie pokoju.

Mimo to zaprosiłem jeszcze ambasadora Polski i o godz. 2 zdałem mu krótko i z umyślnem umiarkowaniem sprawę z przebiegu mojej wizyty u von Ribbentropa. Wspomniałem, że oddanie Gdańska i plebiscyt w «korytarzu» są dwoma zasadniczemi punktami propozycyj niemieckich. Wskazałem również, że o ile mogłem sobie zdać sprawę, propozycje te w całości nie były bardzo nierozsądne, i namawiałem go do zalecenia swemu rządowi, by zaproponował natychmiast spotkanie marszałków Śmigłego-Rydza i Göringa. Uważałem, że jest moim obowiązkiem dodać, iż nie mogę wierzyć w powodzenie jakichkolwiek rokowań, jeżeli będą one prowadzone przez von Ribbentropa.

Lipski wziął wprawdzie na siebie obowiązek przedstawienia tych propozycyj swemu rządowi, ale możliwe że w każdym razie było już na wszelkie próby za późno. W rzeczywistości dla Hitlera istniała tylko alternatywa użycia brutalnej siły lub zjawienia się przed nim uniżonego pełnomocnika polskiego, któryby za przykładem dr. Schuschnigga lub prezydenta Hachy złożył bez słowa podpis swój ku większej chwale Adolfa Hitlera. I nawet to musiało się stać szybko, skoro wojsko pytało niecierpliwie «tak czy nie?».

Dopiero nazajutrz wczesnym rankiem otrzymałem z innego źródła, nie urzędowego, ale bliskiego Göringa, kilka nieco bardziej dokładnych szczegółów propozycyj niemieckich.

Za pośrednictwem radcy ambasady brytyjskiej zakomunikowałem je ambasadorowi Polski, który godziny przedpołudniowe spędził na rozmowach telefonicznych z Warszawą. Były to ostatnie połączenia telefoniczne z Polską, które Lipski otrzymał, gdyż wieczorem rząd niemiecki przeciął mu wszelkie możliwości porozumienia się z rządem polskim.

Ze swej strony rząd JWMości użył swych wpływów w Warszawie, tak iż około południa mogłem przekazać ministerstwu spraw zagranicznych nowe zawiadomienie rządu JWMości, informujące rząd niemiecki że rząd polski podjął kroki mające na celu wznowienie kontaktu z nim za pośrednictwem swego ambasadora w Berlinie. Bezpośrednim celem tych kontaktów miało być ustalenie tymczasowego modus vivendi w Gdańsku, przyczem dr. Burckhardt miał w tej sprawie odegrać rolę pośrednika. Na to zawiadomienie nigdy nie otrzymałem odpowiedzi.

Na popołudnie zaprosił mnie feldmarszałek Göring. Udałem się do niego około godz. 17.

Miałem wrażenie, że ostatnia moja rozmowa z Göringiem była jeszcze jedną rozpaczliwą próbą odłączenia Wielkiej Brytanji od Polski. W trakcie rozmowy wezwano Göringa do telefonu, a kiedy powrócił, oświadczył mi że Lipski jest właśnie w drodze do von Ribbentropa. Göring miał nadzieję — szczerą, jak mi się zdawało — że jeżeli tylko uda się nawiązać kontakt pomiędzy obu rządami, wojny może się jeszcze da uniknąć. Wizyta ambasadora Polski u von Ribbentropa nie dała jednak żadnych rezultatów. Lipski oświadczył, że przybywa w charakterze ambasadora, bez pełnomocnictw do dyskutowania lub prowadzenia rokowań. Wręczył on ministrowi spraw zagranicznych krótkie zawiadomienie, głoszące że rząd polski bada przychylnie propozycję rządu JWMości, zmierzającą do rozpoczęcia bezpośredniej wymiany zdań, i wskazał że formalną odpowiedź w tej sprawie zakomunikuje rządowi niemieckiemu w najbliższej przyszłości. Lipski nie prosił o zakomunikowanie mu treści propozycyj niemieckich, a von Ribbentrop także mu tego nie ofiarowywał. Spotkanie ich trwało zaledwie kilka minut.

Kiedy po tej rozmowie ambasador Polski próbował raz jeszcze telefonicznie porozumieć się ze swym rządem, stwierdził że połączenia są już przerwane.

Hitler postanowił przyśpieszyć wybuch. Nie chciał bezpośrednich rokowań z Polską. Godzina decydująca wybiła.

Przed Hitlerem zawsze stały dwie tylko drogi do wyboru: — użycie siły lub osiągnięcie zawieszonych celów przez samo tylko jej pokazanie. «Jeżeli chce pan osiągnąć cel siłą, musi pan być silny; jeżeli chce go pan osiągnąć drogą rokowań, musi pan być jeszcze silniejszy». Tę uwagę uczynił Hitler wobec jednego z cudzoziemskich mężów stanu, który go odwiedził w ciągu r. 1939. W najbardziej zwięzły sposób wyraża ona całą technikę Hitlera. Tę technikę, którą uruchomił we wrześniu 1938 r. Nie bluffował wówczas wcale bardziej, niż w sierpniu 1939 r. Obawa wojny na dwa fronty z Rosją wrogą, a choćby tylko nieprzyjazną, mogłaby go była odwieść — jego samego i jego doradców wojskowych — od akcji przeciwko Polsce. Nie było natomiast wcale obawy powstania frotu wschodniego w 1938 r. Mógł pozatem liczyć wówczas na poparcie Węgier, jak również Polski, w realizacji swych niecnych planów podziału Czechosłowacji. Gdyby nie nastąpił układ monachijski, napadłby na ten kraj dn. 29 września 1938 r., jak napadł Polskę dn. 1 września 1939 r., i wojna wybuchłaby o jedenaście miesięcy wcześniej. Nie mam pod tym względem najmniejszych nawet wątpliwości. W obu wypadkach metody, które zastosował, były identyczne: stopniowa mobilizacja armji, rozłożona na okres kilku miesięcy, i w tajemnicy przeprowadzona koncentracja na punktach, z których atak mógł być przedsięwzięty w ciągu kilku zaledwie godzin.

Sądzę iż jest rzeczą możliwą, że gdyby Hitler mógł i tym razem osiągnąć cel swój przez samo tylko pokazanie swej siły, byłby się tym na czas pewien zadowolił, tem bardziej że mógłby na swą korzyść zapisać jeszcze znaczne wzmocnienie swego autorytetu wobec narodu niemieckiego dzięki osiągnięciu jeszcze jednego sukcesu bez rozlewu krwi. To jednak pozwoliłoby mu rozpocząć grę odnowa w chwili gdy świat powróciłby do równowagi po wstrząsie. Ale nawet własny jego naród począł odczuwać zmęczenie spowodu powtarzających się ciągle okresów najwyższego napięcia. Miljony Niemców marzyć zaczęły o bardziej spokojnem życiu. Armaty, zaofiarowane im zamiast masła, tracić zaczęły wyraźnie na popularności. Może tylko najmłodsze pokolenie znajdowało w nich pewną atrakcję, ale Hitler musiał stanąć wobec pytania, co stanie się z jego narodowo-socjalistyczną rewolucją w dniu, kiedy ustaną jego sukcesy, kiedy powstrzymany zostanie jego rozpęd.

Ponadto — sytuacja gospodarcza i finansowa była tego rodzaju, że należało obawiać się katastrofy w razie jeżeliby stan powtarzających się kryzysów politycznych miał trwać nadal. Z dwóch możliwości — stabilizacji lub wojny — zarówno z punktu widzenia jego ambicyj osobistej, jak i kliki, która stanowi jego najbliższe otoczenie, wojna była bardziej atrakcyjna.

I wybrał wojnę.

NEVILE HENDERSON,
przełożył
OBSERVER.

---

*) Mowa o utrzymanych w ostrym tonie notach, wymienionych między Polską, Gdańskiem i Niemcami pomiędzy 4 i 10 sierpnia na skutek próby usunięcia z posterunków granicznych polskich inspektorów celnych (*przyp. tłum.*).

W pierwszych 10 numerach **(70 stron druku, 122 ilustracje)** „Wiadomości Polskie" ogłosiły prace następujących 70 autorów :

JAN ADAMOWSKI, WACŁAW BABIŃSKI, STANISŁAW BALIŃSKI, PIERRE BERNUS, FRANCISZEK BIEDART, JAN BIELATOWICZ, EMILE BURÉ, HENRY COUTANT, RIBEIRO COUTO, MARJA DANILEWICZOWA, ANTON VAN DUINKERKEN, ERNEST, KAROL ESTREICHER, ARKADY FIEDLER, HENRYK GOTLIB, ZBIGNIEW GRABOWSKI, JULJUSZ GROT, WACŁAW GRZYBOWSKI, ZOFJA HOŁUB - PACEWICZOWA, T. N. HUDES, KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA, X. AUGUSTYN JAKUBISIAK, ALEKSANDER JANTA, MARJA JASNORZEWSKA, ś. p. ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI, MICHAŁ KONDRACKI, ZENON KOSIDOWSKI, STANISŁAW KOT, EDWARD KRAKOWSKI, P. P. KRANC, MARJA KUNCEWICZOWA PAULA LAMOWA, JAN LECHOŃ, LEWITT-HIM, JÓZEF ŁOBODOWSKI, JEAN MALAQUAIS, RAFAŁ MALCZEWSKI, IGNACY MATUSZEWSKI, BOLESŁAW MICIŃSKI, J. K. MIKLISZAŃSKI, NOKYS, ZYGMUNT NOWAKOWSKI, OBSERVER, RYSZARD ORDYŃSKI, KSAWERY PRUSZYŃSKI, JÓZEF RADZIMIŃSKI, J. H. RETINGER, ADAM ROMER, JAN SASSE, HANNA SKARBEK-PERETJATKOWICZ, JURAJ SLAVIK, ANTONI SŁONIMSKI, FLORJAN SOKOŁÓW, ADAM STERBAŁŁA, STANISŁAW STROŃSKI, MIECZYSŁAW SZERER, STEFANJA SZURLEJ - KOSSOWSKA, FRANCISZKA THEMERSON, STEFAN THEMERSON, ANDRÉ THÉRIVE, FELIKS TOPOLSKI, CHARLES TURGOT, IRENA TUWIM, JULJAN TUWIM, H. G. WELLS, KAZIMIERZ WIERZYŃSKI, MARJA WINOWSKA, JÓZEF WITTLIN, STEFANJA ZAHORSKA, FERDYNAND ZWEIG.

MARJA KUNCEWICZOWA

NOC POJEDNANIA [1)]

Fragment z powieści „MĄŻ RÓŻY"

Asesor szczególnie wiele interesów miewał w Brześciu.

Po każdym jego powrocie do Czernawczyc żona w ganku oczekiwała nowin o postępach Adasia, o grzeczności Frani. Piotr rzadko kiedy coś powiedział.

Istotnie, skąpo widywał dzieci. Urzędy — obok bieżącej roboty — przeżuwały kwestje powstania. «Stanowoj pristaw», przedstawiciel władzy wykonawczej na obwód administracyjny, zwany «stanem», prawa ręka «sprawnika», niejeden węzeł musiał rozsupłać między gubernjalną racją stanu a czernawczyckiem szaleństwem.

Z ust do ust chodziła wieść o ataku Romana Rogińskiego na Białą Podlaską, o krwawych bojach w jej okolicy z przemożnemi siłami generała Nostitza, o dzielności młodziutkiego dowódcy, który z garstką ludzi niemal bezbronnych, zwycięsko odpierał Moskala.

Handelek Głuchowskiego w Brześciu aż się trząsł od pohukiwań panów szlachty. W pierwszej izbie za sklepem bigosy krążyły tanecznie nad rajcującemi głowami, służba głośno rzucała łyżki i talerze, w kącie pod łbem rogacza, obróconym na wieszak, siadywał sam pan sprawnik. Tutaj było państwo solenizantów, rybkowiczów, kieliszkowych przyjaciół. Coraz to rozbrzmiewał drobny stukot taradajki po kocich łbach, później alarm ochrypłego dzwonka, i nowy gość wkraczał do Głuchowskiego — administrator, dzierżawca, nieraz sam pan dziedzic albo jego stołeczny pociotek. Trafiał się i miejscowy — urzędnik, rejent, doktór... Rychło przestawało być ważne, kto jaką godność piastuje.

Z początku sumiaste gęby tkwiły sztywno na karkach, spozierając zwysoka na sąsiednie stoliki, cedząc słowa, okraszając się — w miarę potrzeby — łaskawym krótkim śmiechem. Ale wódka nie pozwalała na piękną prezencję. Ledwie ogórkiem przekąsiwszy, przybysz zaczynał głośno dopominać się o rydze, potrącał sąsiadów, zaczem rzewnie ich przepraszał, czy też — jeśli był krewki — łukał i gromił, że mu siedli na zawadzie. Jedni za gromiącym brali stronę, inni za gromiącym, powstawał harmider, godne oblicza rozpełzały się w skurczach gniewu, współczucia, zwycięstwa, wąsy nasiąkały tłuszczem. Z podania soli, ze spojrzenia, wynikały namiętne skłonności, nieznajomi rzucali się sobie w objęcia, odkrywając śmiertelne sekrety. Niebawem pod łbem rogacza sprawnik szeptał z głównym «miatieżnikiem» (2), a urzędniczyna powiatowy odbierał pokorne służby jaśnie oświeconego klienta.

Za pierwszą izbą wszakże była druga — ciemnawa i cicha. Tam tylko niektórzy chyłkiem wkraczali. W mętnem, zielonem lustrze nad rozłożystą kanapą pływały twarze, jak gdyby nie odbite z obecnych, tylko zapomniane przez tych, co stąd dawno odeszli. Młodzi ludzie, a i starsi panowie, popijając — nie podnosili tam głosów, to zaś co mówili miało widocznie jakiś wartościowy sens, skoro notowane było na karteczkach, powtarzane przez innych, przyjmowane jak Ewangielja — w milczeniu. W drugiej izbie nikt się długo nie zasiadywał. Ledwie trzech, skłoniwszy do siebie głowy, wysłuchało czwartego, już co najmniej jeden opuszczał radę, by śpiesznie zdążać ku drzwiom od podwórka. Często koło stajni ktoś czekał na wychodzącego, często ze żłoba, spod obroku wyjmowano różne nie stajenne przedmioty, coś ukrywano w sianie i — świecąc ślepą latarką — ruszano z powrotem w miasto.

Piotr Krzysztofowicz przebywał raczej w tej drugiej izbie, niż w pierwszej, fetującej sprawnika. Dostawał się do niej «czarnym chodem», przysiadał pod zwierciadłem na skraju kanapy, odgadywał swoje stękając, pilnie słuchał, wiele też miewał do czynienia w wozowni.

Niejeden z pierwszej izby, skoro zajrzał w głąb handelku, dostrzegłszy tam asesora, cofał się na palcach, kiwał na kamrata i kazał mu się mieć na baczności: « de publicis, bracie, ani mru-mru, w bokówce pies carski nasłuchuje». Kupili się wpobliżu kanwowego Kościuszki, by okoliczność roztrząsnąć:

— Sprawnik — dusza-człowiek. On za Polskę w ogień skoczyć gotowy, a to w Rosjanach afekt słowiański ze wszystkiem rozbudził się i samodierżawie nadojadło nieszczęsnym. A ot Krzysztofowicz — renegat; dla orderu braci rodzonych zaprzeda.

Tak więc Piotr zostawał w podwójnem podejrzeniu. Bo Regina także zaczęła snuć domysły. Brat nazbyt często pojawiał się w Brześciu i nazbyt mało udzielał się dzieciom. Regina, gdy wypadło oczyścić mu ubranie, spakować torbę podróżną — węszyła za damską perfumą. Z wypiekami na twarzy przetrząsała kieszenie, czy nie wypadnie z nich wstążeczka, kwiatek zasuszony, cokolwiek coby świadczyło o klęsce Cecylji. Wobec zapytań Adasia: «gdzie tatko? czemu nie nocował?» — kładła palec na ustach: «ciekawość pierwszy stopień do piekła».

Frania skromnie spuszczała oczy, Adaś czuł że baby myślą nie to co trzeba. Ciotka z panią Wrońską ściboliły obok, kiedy on odrabiał lekcje.

— Niewiadomo już co i gotować, brat zawsze spaźnia się. Kluski, czi mięsa gorońca przestoi się i choć psu ty ich dawaj. Machnęła ja ręką i kwaszelina co dnia przygotawiam.

— A w domu pani asesorowa na takie spaźnianie dozwala?

Regina sznurowała usta:

— Trudnoż człowieku całe życie być niewolnikiem... Ja myślę, że dla mężczyzny świat szeroki domem okazuje się.

Adaś czujnie zerkał na ciotkę, po raz pierwszy gotów przyznać jej rację. W pamięci stawała mu polana zasnuta nocą i obcością, księżycowa polana, gdzie ojciec pośród drżących krzewów widział Polskę.

Regina mrugała na starszą panią. Wychodziły obie, obrzucając ucznia surowym wzrokiem. Za progiem wszczynały długie szepty, wzdychania, chichoty. Chłopak zatykał palcami uszy, żeby nie słyszeć, jaki to świat przeznaczają ojcu na męskie mieszkanie.

A z Piotrem Krzysztofowiczem sprawa była taka: akt darowizny majątku Wrożyszcze — cum boris piscibus et fluviis herbu Ślepowron — herbowi Łabędź — stał się, w dojrzałych latach asesora, wielką kartą jego egzystencji. Przełożył ją sobie do podręcznej szuflady. Nie sprzyjał jaśnie państwu, spluwał ile razy ulicami Czernawczyc sunął tabor pana Nossarzewskiego, złożony z bryk wiozących kuchnie i kucharzy, kufry, naczynia, a sam dziedzic pośród klaskania biczysk i trąbek forysia kolebał się w karocy. W urzędzie asesor lubił przygnębiać ziemian swoją władzą. Niechętnie patrzył na przyjaźń Cecylji z Czuczyńską — «hrabską służką», pochwalał projekt uwłaszczenia chłopów, Homdziuka, który bawił się z Adasiem, kazał sadzać do stołu. Ale w kancelarji tamto życie znajdowało koniec, i z głębin jestestwa podnosiło się życie prawdziwe — niedorzeczne, ulubione, takie jakie nigdy nie było i nie będzie.

Piotr razem z przeklętym dziadem, marnotrawcą fortuny, przechadzał się, obleczony w sajety, po majętności Wrożyszcze i raz jeszcze — całą, caluteńką, cum boris piscibus et fluviis — słał ją do stóp herbowi Łabędź, pani z niewidzącym wzrokiem. Imość Bortnicka szumiała spódnicami nad coraz innym stoczkiem, pod coraz inną brzozą, snuła się po łąkach; dziad Jakób herbu Ślepowron — za nią. Kiedy o księżycu wychodzili do Piotra, imość na łabędziej szyi niosła głowę Izabelli Rawicz; asesor musiał znów klękać i błagać o oddalenie Czarnego. We śnie dawało się to uskutecznić: Czarny znikał wraz z dziadem. Piotr wstępował na złoto-biały obłok, brał hrabinę w ramiona — płynęli. Dopiero wtedy okazywało się, w jak pięknym świecie ubiega ludzki czas. Izabella miała oczy przymknięte, wydawała się zapominać, że żyje. Natomiast Piotr, czując ciepło kobiece, uzyskiwał możność widzenia tego co zazwyczaj nie ściąga uwagi.

Każde drzewo rysowało po niebie innemi listeczkami, a wszystkie były jedyne, były potrzebne do oddychania swojszczyzną. Słup od gołębnika okrywał się to srebrem, to złotem, drugiego takiego słupa nie znaleźć w obcym kraju. Dymy polatywały jak niebożęta nad wodą, rozsnuwając zapach piekarni i sytego wieczoru. Zboża chełbiły się — łan w łan — powolne, łaskotliwe; jaskółki spadały na dno zatraty. Wreszcie las podścielał swoje mroki pod ów przelot miłości: Izabella Rawicz na wieki oddana Krzysztofowiczowi. Piotr rozdzierał obłok; osiadali z hrabiną na polanie przy kępie zawilców — Piotr nachylał się nad ustami, pił bogactwo, pił wolność, odrywał wargi i słyszał własny szept: «To wszystko jest Polsza; a to ja — krew za nią oddać gotowy».

Taki był podskórny nurt urzędowania. Aż tu pewnego dnia głębokiej jesieni roku 1863 przyszedł papier z ujezdu, który — wbrew naioczywistszym racjom — wydobył ów nurt na powierzchnię. W papierze był nakaz egzekwowania konfiskaty Młyńca, ostatniego folwarku dóbr kluwieneckich. Stanowoj pristaw Krzysztofowicz miał się tam udać przy asyście dziesiątki kozaków, dworek, gdzie po licytacji pałacu, mieszkała pani Rawicz — opieczętować, dziedziczkę wysiedlić. Jako przyczyna represji podane zostało: stosunki z partją Stasukiewicza.

Niestare serce Piotra zabiło na trwogę. Papier złożył, drżącemi palcami przeżegnał się: ruszył do Czuczyńskich, gdzie było ognisko dworskich plotek. Niezbyt zgrabnie wypadła wizyta. Emerytka — świadoma niechęci asesora do niej — droczyła się. Po każdem pytaniu wybiegała do kuchni; w fotelu siedząc, także niemo patrzyła po ścianach. Dopiero na widok urzędowego dokumentu zelżała. A więc — wyznała: o Bojarskim słuch dawno zaginął.

Któregoś rana, przed kilkoma laty Iza obudziła się w swojem pazurzastem łożu samotna. Nie pomogły srebrne zawołania: Czarny poniósł gdzieś, w stronę niewiadomą, swój piękny mały łeb i miłościwe ciało. Hrabina ociwiczyła podkuchenną, którą podejrzewała o konszachty z nim, podarowała pierścień lokajczukowi — ślad nie dał się wytropić.

Ostatnim dopiero czasem zaczęły napływać gadki. Jedni twierdzili że widziano Bojarskiego w grupie jeńców, których generał Nostitz przyprowadził spod Siemiatycz. Inni znów mieli go rozpoznać pośród dywersantów, rabujących wślad za sołdactwem majątek ubitego przez Rosjan pana Śnieżki.

Czuczyńska, rozgadawszy się, byłaby nie poskąpiła przypuszczeń, a także dalszego ciągu powieści. Ale Piotrowi dosyć było jednego: Czarny — jak we śnie — ustąpił. Miejsce na obłoku było wolne obok Izabelli Rawicz. Tegoż dnia pojechał do Młyńca bez asysty.

Jakie tam było widzenie, pozostało tajne dla pana sprawnika. Asesor złożył raport, że egzekucja w toku. Podówczas to właśnie zaczął nawiedzać handelek Głuchowskiego w Brześciu, wzbudzać czujność patrjotów i domowych kobiet.

Izabella powiedziała:

— Pafnucy (3), jeśli Boga masz w duszy, doprowadzisz mnie do partji Stasukiewicza. Zaklinam ciebie, zaklinam! Dwór i folwark bierz choć zaraz, pieds-nus pójdę za tobą, by nie wrócić nigdy w te miejsca, gdzie serce moje siedmioma mieczami przebito.

To mówiąc, patrzyła na asesora, zdumiona i do każdej drogi gotowa. Kiedy asesor w zająkliwych zdaniach przedstawiał zgrozę przedsięwzięcia, chuchała na szybę, uśmiechnięta, rysowała po niej paznokciem serca i miecze... serca i miecze... Jak dziecko, chcące przeczekać morały.

Zaczęło się podwójne życie Piotra. W urzędzie sporządzał pisma w sprawie «ostawlennoj w podozrienji» (4) Izabelli Rawicz. W restauracji szukał Kostusia Klonowskiego, niesfornego siostrzana Martyny, by zasięgnąć języka o Stasukiewiczu. Niełatwo mu z tem szło. Wprawdzie przez jakiś czas mówiono w rodzinie o dziwnym postępku asesora, kiedy to pośród leplowskiego gadania ujął się ni stąd ni zowąd za Polską i w las poszedł, urażony — ale była to niepewna poszlaka, Klonowscy bali się dopuszczać pristawa do powstańczych sekretów. Krzysztofowicz najchętniejby milczał i czekał aż okazja sama wpadnie w ręce; jednak hrabina patrzyła nań — obecna czy nieobecna — zdumionem spojrzeniem.

Któregoś dnia, siedząc przy Kostusiu w bokówce Głuchowskiego, czując że każdy z sześciu mężczyzn wokoło jedną chowa myśl: «zgiń, przepadnij, psie carski, i nasienie twoje niech przepada» — czując to, oraz niezmierne obrzydzenie do siebie, nabożeństwo do nich, strach przed awanturniczym losem, a także zachwyt dla niepojętych zachceń herbu Łabędź, Ślepowron — Krzysztofowicz zapadł nagle na swoją dusznicę bolesną, na niewidoczną dla obcych chorobę, która niczem innem u niego nie była, niż pasowaniem się z własną naturą. Szanujący dzień powszedni nad wszystko, dniem powszednim przez Boga nagrodzony za klęskę swojej świątecznej miłości — Piotr targał teraz węzeł po węźle bezpieczne nawyki, by się znowu wydać jakiejś warjackiej niedzieli.

— Prowjantu potrzebno? — zapytał, schrypnięty.

Wszyscy drgnęli, jak na głos Belzebuba...

Zaczął dla partji dostarczać prowjant. Skąd go brał? Od kogo ukwestował? Jak dalece nadwyrężył kiesę domową? Nikt nie pytał. Nikt też nie dziękował.

Po pewnym czasie — ostrożny i niezawodny — pozyskał sobie takie zaufanie, że Kostuś uznał za dobre wskazać mu niektóre tajemne przeprawy.

— — — — — — — — — — — —

Otóż i nadeszła noc pojednania. Na wozie kiepsko wymoszczonym, równie nieziemskim jak obłok, Piotr Krzysztofowicz jechał w księżyc z Izabellą Rabwicz. Hrabina, w mużyckich szmatach nie mniej fantastyczna niż w dezabilce, dzwoniła zębami, bo księżyc był już listopadowy, mroźny. Pod chustą tuliła do piersi szkatułę z klejnotami. Pristaw z uniesieniem myślał o szmaragdach, o szafirach, które — za jego sprawą utajone przed likwidatorem mienia osoby podejrzanej — zasilą skarb buntowników. Nie śmiał nic mówić, prawie nie śmiał istnieć. Sam powoził. Izabella siedziała obok — za nimi w sianie kilka fuzyj, wór mąki i cielę ubite. Kiedy na wybojach ramię hrabiny przylegało do ramienia Piotra, gryzł wargi.

W połowie drogi wiatr przywiał mu na usta pasmo wonnych włosów. Wtedy wypuścił lejce z rąk. Pani Rawicz ocknęła się:

— Co to? Co to?

— Nic to, — odszepnął Krzysztofowicz, — proszę jasna pani śnić dalej, Bóg nas od złego uchroni.

Zagruchała po francusku, wsparła czoło o jego plecy, usnęła. Wjechali w las. Okolica dobrze była asesorowi wiadoma, bo zmierzali do Czerska, do owej leśniczówki, której oddano w pieczę głuszce dla dygnitarskich polowań. Asesor strzelał oczami po gęstwinach, naświetlonych miesiącem, czy gdzie zza krzaka nie wystąpi stary Elichwir w parciance, mruczący «Vater unser». Wspomniał wiosenną bytność z synem na polanie, gdzie za przyczyną komety pokazała im się Polska — droga i wieczna. Teraz także Praksedy, Hrycie w mroku leśnym złorzeczyły Polsce. Asesor się zadumał. Jedna wszak droga na polanę dla kłusownika i dla szlachty, i też same oczy ludzkie patrzą na świat z chłopskiej co i z pańskiej czaszki. Czemu jedne między sosnami widzą Polskę, drugie tylko zwierzynę?

Piotr zatajał dech, aby nie zbudzić Izabelli. Wydawała mu się, odkąd ustąpił cień Czarnego — dzieckiem, najdroższą czystą córką. Pragnął dowieźć ją wraz z klejnotami — śpiącą, całkowicie **aniołom oddaną** — na to miejsce, gdzie się dopełni ofiara. Krzysztofowicz wiedział już teraz, że nie będzie mógł zatrzymać hrabiny dla siebie. Rozumiał, że jego szanse były gorsze od lokajskich — szanse ciężkiego, przaśnego człowieka. Nie chciałby nawet i nie próbował gramolić się w pazurzaste łoże, obok którego kiedyś klęczał, bity przez włóczęgę. Ale chciał, ale — nareszcie — mógł zobaczyć Izabellę niczyją. Postanowiła zasilić ostatkiem majątku powstanie. Stasukiewicz był klerykiem. W poświęcone dłonie hrabina złoży brosze i kolje, naramienniki, wabiące mężczyzn, uboga i samotna, odejdzie sprzed ołtarza ojczyzny. Jak niegdyś z pańskiego grymasu kupowała sobie krańse szale, perłami sadzone kulbaki, tak teraz kupi sobie nędzę, męczeństwo, może śmierć. Piotr czuł w nozdrzach konwaljowy zapach, upajający zapach niedzielnych, szlacheckich spraw, pieczętowanych ptakami, kwiatami, krzyżami i mieczami.

Wóz podskoczył, Izabella siadła równo, rozwarła powieki. Drzewa się rozstępowały, droga wiodła w coraz szerszy dukt, zimny księżyc napełnił srebrem złote zazwyczaj oczy. Hrabina była blada. Chusta opadła z jej głowy, rude loki, gdzieniedzie przetkane srebrem, błyszczały jak korona. W jednej chwili Krzysztofowicza ogarnęło natchnienie, że to nie hrabinę ze skarbczykiem doprowadza on do partji, tylko samą Polskę wiezie do wieczności. Przeraził się, westchnął, ale konie prychnęły, dym wypłynął spośród gałęzi, dalekie szmery obwieściły ludzi, i Piotr — zawstydzony — powrócił do jawy.

Niebawem stanęli. Była to — zwarzona jesienią — ta sama polana, na której w tygodniu wielkanocnym błyszczały zawilce i drżały, niepewne losu, pączkujące krzewy. Nic nie pozostało z kwietniowej czystości. Trawa była wydeptana, spalona od ognisk, wszędzie pstrzyły się ogryzki, końskie łajno, szmaty, pakuły... Kłody, służące tu niegdyś za ławy, widać zrąbano, ledwie gdzieniegdzie bielały trociny. Smród ludzki i bydlęcy aż dusił. Między szałasami, między płachtami, krzywo osadzonemi na drągach, mającemi osłaniać od wiatru, kręcili się mężczyźni w półkożuszkach, w czapach kwadratowych i krągłych, obszytych barankiem, w butach z cholewami, przeważnie brodaci. Spętane konie straszyły pośród drzew, wozy zestawione w prostokąt o trzech ścianach tworzyły zagrodę, gdzie mieściła się kuchnia, skład wszelkiego sprzętu, obora i — chyba — lazaret, bo jęki donosiły się stamtąd narówni z rykiem krowy. Furmankę z Brześcia natychmiast obstąpiono, dwóch z pistoletami w garści podeszło do asesora — Piotr wręczył pismo Kostusia Klonowskiego, przyświecili sobie, przeczytali, potem latarkę podnieśli na wysokość twarzy dwojga przybyłych; w żółtem świetle, kłócącem się z księżycem, długo oglądali w milczeniu zawstydzone oczy Krzysztofowicza i senne usta Izabelli Rawicz.

Uchylili jeszcze dery nad prowjantem, pomacali wór z mąką, cielę... Zabrali fuzje... Odeszli.

Hrabina sfrunęła na ziemię. Ledwie stąpnąwszy, zaczęła się skarżyć, że zwichnęła nogę, że ścierpła, że przemarzła, że chce do ognia. Jakoż, trzęsąc lokami, ruszyła — kuśtyk, kuśtyk — w kierunku taboru; Piotr, rad nie rad, za nią. Ludzie śpiący gromadami pod osłoną płacht i bez osłony, podnosili rozespane głowy, mruczeli coś, spali dalej. Czuwający natomiast wielce byli zajęci tumultem w zagrodzeniu. Owe jęki, pomięszane z krowiemi rykami, zdawały się być ośrodkiem sprawy. Prędko dobrnęli na miejsce, ale nie odrazu zobaczyli w czem rzecz, bo gęsty tłumek zastawiał plecami scenę. Pewnie tam pośrodku ktoś leżał bardzo cierpiący, a inni go ratowali, bo coraz czyjeś ramię opadało wdół, krzyk zaś boleściwy szedł wgórę. Iskry snopami ulatywały z ogniska, brodacze klęli, niektórzy jednak śmiali się, przygadując:

— Dobrze jemu tak. Teraz popamięta. Na drugi raz lepszą konduitę obierze.

Izabella ziewnęła. W tej samej chwili głos cierpiącego człowieka ścieniał, wyostrzył się, z jęków przeszedł w słowa:

— Mamo! Panno Najświętsza! Izabelko, ptaszko moja! Na pomoc...

Wargi hrabiny, rozciągnięte ziewnięciem — zastygły; źrenice — stężały. Nagle podniosła pięść... Zaczęła kuć w plecy powstańców. Zaskoczeni — odstępowali; luz powstał, w migającym blasku odsłoniło się jądro zdarzenia: umęczone ciało.

Nagi, brązowy, z małą zwichrzoną głową odgiętą wtył na bezsilnej szyi, klęczał Czarny. Ręce miał przykrępowane dotyłu; na piersi, plecach, ramionach niezliczone piętna, krwawe pręgi, zacieki... Dwóch smagało go rózgami, które — miast w wodę — co chwila zanurzali w płomień. Właśnie te rozżarzone pręty unosili znów w górę, kiedy między nich a klęczącego runęła zawierucha chust, loków, płaczu, wyzwisk i pieszczoty. Zanim kto zdążył dech złapać, Izabella wytrąciła rózgi oprawcom.

— Bojarze mój! — nagła jak rybitwa, osunęła się na zdręczony tors.

Ludzie zamilkli. Rude włosy zbyt królewsko pałały. Samodział upadł z ramion, zaciśnięta pod lewą pachą szkatułka ukazała bogate wieko.

— Dla ciebie, królu mój, abyś się do mnie powrócił, przywiozłam szafiry, szmaragdy...

Piotr Krzysztofowicz zamknął oczy. Ani się zadziwił, ani zgniewał. Martwica złapała go za twarz, za stopy, jak nagły mróz. Pod powiekami powstał obraz szarej lodowatej rzeki, która swoje wody toczy jemu naprzeciw, aby go niechybnie zatopić. Piotrowi uczyniło się nudno, żal wszystkich fatyg, jakie kiedykolwiek ponosił, i tęskno do ostatecznej topieli.

— Kupić, kupić... — po dłuższej minucie spostrzegł się, że powtarza nierozumne słowo, więc zacisnął zęby, wyszedł z koła i przysiadł na pieńku.

Tymczasem miatieżnicy ochłonęli z czaru rudowłosej. Ten i ów ją poznał. Pan Narbutt w bobrowym kołnierzu przysunął się i rzekł:

— Jakiż on bojar, hrabino? Oprych on, gwałciciel, grabieżca. Z Feliksem Jagminem do partji przystał, obełgawszy go iż emisarjuszem Warszawy będąc, u pani tajnie kwaterował. Wiarę śmy mu dali, bo pierścień z klejnotem okazał. Dziś atoli żandarmi nasi przychwycili go na zbójeckiej robocie, jak wślad za naszym patrolem, furaż w leśnictwie biorącym, do Leplówki owej wpadł, dziewkę służebną przyniewolił, starca-leśniczego, nazwiskiem Eichler, w oczach żony zastrzelił i do skrzyni z dobytkiem sięgał.

Co gdy pan Narbutt powiedział, żandarmi podnieśli wytrącone rózgi a ogień wyżej buchnął. Jednocześnie z gromady wyłonił się Stasukiewicz, zbudzony przez wartowników.

Z listem Klonowskiego w dłoni szedł, pytając:

— Gdzież jest obywatelka owa, co skarb przywiozła? Dawać ją, skarbu nam wielce potrzeba.

Piotr wstał na drętwe nogi. Topiel była blisko... Trup starego Rachela bałwanił się w niej, uplątany w warkocz komety złocistej, jak hrabskie grzywy. Bojarunio zawył... Narbutt coś krzyczał, Izabella wniebogłosy prosiła:

— Puśćcie Bojara mego, puśćcie! Kupić go szmaragdami pozwólcie...

Ale wszystko utonęło w szarych wodach; i Piotr w tych wodach odpłynął.

MARJA KUNCEWICZOWA.

(1) por. «Piotr i Augusta» w nr. 821 «Wiadomości Literackich», «Leplówka» w nr. 2 i «Szkoła» w nr. 8 «Wiadomości Polskich».

(2) Buntownik.

(3) Tak przezywała Piotra.

(4) Pozostającej w podejrzeniu.

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS

123, Boulevard Saint-Germain, Paris (VI^e)

Tél. : DAN. 04-42

MÉTRO : Odéon lub Saint-Germain-des-Prés

POLECA KSIĄŻKI W JĘZYKU POLSKIM I FRANCUSKIM PO CENACH ŚCIŚLE KATALOGOWYCH

OBECNIE POSIADAMY NA SKŁADZIE NASTĘPUJĄCE PODRĘCZNIKI DO NAUKI OBCYCH JĘZYKÓW:

1000 słów po francusku. Najłatwiejszy samouczek języka francuskiego w 34 lekcjach z 94 ilustracjami. Opracowali C. Buchholtz, dr. E. Wallenberg i M. Goryński **fr. 100.—**

Z. FRENKIEL — Mówmy po francusku. Wyd. trzecie .... **fr. 24.—**

B. HAMEL — Le français moderne à l'usage des Polonais. W oprawie kartonowej (ukaże się w najbliższych dniach) **fr. 25.—**

Paul HARDY — Moja metoda. Najłatwiejszy i najnowszy podręcznik do nauki języka francuskiego. W oprawie kartonowej ..... **fr. 24.—**

S. W. PIWAR — Praktyczna metoda języka angielskiego do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela ..... **fr. 36.—**

B. HAMEL — Podręczny słownik francusko-polski i polsko-francuski z wymową fonetyczną.
Część I: francusko-polska **fr. 65.—**
Część II: polsko-francuska **fr. 65.—**

J. STANISŁAWSKI — Słownik angielsko-polski i polsko-angielski. Oprawa płócienna. Całość w jednym tomie .... **fr. 100.—**

Prof. M. H. DZIEWICKI — Słowniczek-karzełek polsko-angielski i angielsko-polski, z wymową. W oprawie płóciennej ..... **fr. 27.—**

Ponadto posiadamy na składzie bogaty wybór słowników obcojęzycznych oraz książek ze wszystkich dziedzin. Na żądanie katalogi polskie i francuskie bezpłatnie ze wszystkich dziedzin i specjalności.

ZWRACAJ SIĘ Z PEŁNEM ZAUFANIEM DO KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU

RAFAŁ MALCZEWSKI

DZIEŃ

Z OPOWIADAŃ POR. X.

Nie udało się nam ustalić paru punktów. Dla przykładu wymienię jeden, bez wątpienia ważny dla dziejopisów wojny, datę owego dnia, który minął dawno i stał się w istocie rzeczy niewymienną, niestety, wartością nie mojej pamięci. Może niepotrzebnie uwikłałem się w cudze przeżycie, nigdy nie powtarzalne, wyłowione ze skąpych słów por. X. Pojmuję aż nadto dobrze, jak brutalny był mój postępek i co gorsza, jak dziecięco naiwny. Mógłbym to nazwać aktem agresji dokonanym pod postacią czułego spowiednika. Usprawiedliwia mnie poczęści, że mój rozmówca nie tylko zgodził się na tego rodzaju zabieg, ale że starał się być mi pomocny, że uczynił wszystko, by odbiór był czysty. Przyznam się że nie tyle chodziło wkońcu o uszeregowanie kilkunastu faktów ile o odtworzenie jednorodnej aury czegoś co było niegdyś rzeczywistością, smugą mrocznego ognia wypaloną w pamięci człowieka, któremu było dane nie tylko ją przeżyć, ale obdarzyć rytmem swego serca.

Trudności zaczęły się już z tytułem.

— Najtragiczniejszy dzień w mojem życiu — szepnął por. X i zaraz potem roześmiał się szczerze.

Działo się to już pod koniec opowiadania, i nic dziwnego że wlot pojąłem przyczyny jego wesołości. Zaprawdę, trudno było ów dzień obarczyć jakimkolwiek przymiotnikiem. Wobec ciężaru tych dwunastu godzin, wszelki ornament słów, bardzo nawet patetycznych, stawał się pociesznie lekki, nieledwie figlarny.

Nie pamiętam już z czem wystąpiłem na odmianę. Zdaje się że było to coś bardziej wyszukanego, tem więcej nędznego. Bąknęliśmy naprzemian parę równie niewydarzonych określeń. Nicość mojego wysiłku ujawniła się wtedy niespodzianie.

Mimo wszystko nie cofnąłem się. Nie wolno mi było bezkarnie dotykać osłon ukrywających blizny, może — rany znieczulone narkozą oddalenia w czasie, przywalone rumowiskiem zburzonego świata. Zwłaszcza że wydano mi je z ufnością. Jedną z nich, najboleśniejszą może, obnażyliśmy; podkreślamy: my, to znaczy por. X i ja, niefortunny śmiałek. Przyznam się że łatwo było wyodrębnić ją z plątaniny innych, gojących się, śmiem twierdzić, lepiej niż ta właśnie. Pomocą okazała się także przestrzeń czasu — biała taśma wynurzająca się z jakiejś ciemnej nocy i tonąca w czarnej otchłani — następnej, jak też zbieg okoliczności narastających z nieustającem natężeniem w nieuniknionych cios, zadany ręką przeznaczenia.

— Zacznijmy od pogody — zażartował por. X. — Była co się zowie nienaganna. Zwykły wrześniowy dzień «tej» wojny. Potem było nawet upalnie, z tem tępem zgaszeniem barw w południowej porze. Słońce mżyło migotliwym popiołem. Straszyć zaczęło już we wczesnych godzinach ranka.

«Są ludzie, — ciągnął por. X, — którzy doznają przeczucia śmierci i od świtu się z nim obnoszą. Każdemu oświadczają, że ów dzień będzie ostatni w ich życiu. Jakby komuś zależało, by było naodwrót. Wieczorem zaś kryją się po kątach i unikają na ten temat rozmów. Co do mnie, w owym dniu byłem daleki od podobnych podejrzeń. Lecz było mi bardzo źle. Zbliżałem się po styczne ku czemuś miażdżącemu.

Z drugiej strony — jak mówił — był mocno niewyspany. Całą noc trwali w pochodzie. Brygada kawalerji zdążała szybkiemi marszami, by połączyć się z dywizją gen. A. Tym razem pamięć por. X. zawiodła po raz wtóry. Wie że działo się to w okolicach Kraśniczyna, lecz nazwę wsi zgubił zupełnie. Na mapie odnalazłby ją napewno, oczywiście, bardzo szczegółowej, ponieważ owo osiedle było nikczemnie nic nie znaczące i małe. Mapy nie posiadał nawet «tam», cóż dopiero tu, w Paryżu.

Zmęczeni setnie, wyłonili się z nocy gwiaździstej, aby dostać się odrazu w bitwę. Przyznać trzeba, że on i jego dwudziestu czterech ułanów statystowało raczej. Jechali jako osłona brygady na lewem skrzydle i przetrwali bój z Niemcami w lesie. Co jakiś czas zmieniali stanowisko, mimochodem ostrzeliwani przez nieprzyjacielską artylerję. Niekiedy pociski padały w kępy sosen, w których byli ukryci — nie robiąc im krzywdy. Wtedy przesuwali się w inne miejsce, by w końcu rozpocząć odwrót tak samo jak codziennie. Rwali kłusem po gliniastym gościńcu, zwłaszcza gdy wypadli z zielonego schronu w pole. Sczasem wysforowali się od linji ognia i pociągnęli wolniej pustym traktem, skromną drogą nie mającą żadnej ambicji by uchodzić za szosę państwową. Było już dobrze ciepło i sennie, pociski armat huczały nieszkodliwie w omgleniach widnokręgu. Naiwnie ubogi pejzaż, wyznaczony poletkami popielatej roli, płowem ciepłem ściernisk, smugami sinych lasów, zjeżał się lękiem. Wysoko ponad nimi kluczyły bombowce, odpływały dalej, dławiąc się coraz ciszej skurczami żelaznej grdyki.

— Jechałem obszarem ziemi, który falował, — mówił por. X., — nieśmiało i pokornie, jak przystało tej krainie, już znękanej. Na któremś ze wzniesień — dostrzegłem nasze baterje. Tkwiły mocno w gruncie. Panowie artylerzyści byli okopani. Podjechawszy do nich, wdałem się w rozmowę. Namawiałem ich aby byli tak łaskawi i w przeciwną stronę zwrócili lufy swoich dział, które celowały tam dokąd zmierzałem. Moje uwagi przyjęto z milczącem lekceważeniem. Skądże mogłem wówczas rano wiedzieć, że jesteśmy otoczeni dokoła przez Niemców i że oni mieli świętą rację mierząc na południe. Urażony, powróciłem do mojego oddziałku.

Jak wynikało z dalszego opowiadania, coraz to mijali laski, jak to w Lubelskiem przystało, wyrosłe na piaskach. Konie dreptały w miękkiem usypisku, ułani drzemali, niebo pogrzmiewało salwami armatnich strzałów.

W któremś z takich skupień drzewnych czekała ich niespodzianka. Z krzaków wypełzło dwóch ułanów prowadząc konie za uzdy. Poprosili, by mogli przyłączyć się do oddziału por. X. Nie było powodu do odmowy. Porucznik polecił im jechać na końcu kolumny.

Ledwo co poczłapali dalej, koślawy spokój prysnął. Zmacały ich niemieckie szrapnele, i jeden z nich wybuchnął ponad głowami przybłędów.

— Trzymali się dzielnie, — rzekł por. X., — tylko któryś z moich żołnierzy krzyczał głośno. I nie przestawał. Pan wie zapewne, że nie mieliśmy opatrunków. Bandażowaliśmy rannych ich własnemi koszulami. Mój ułan miał rozorane piersi, skrwawione obficie. Nie znalazłem żadnej wylotowej rany. Nie mógł chyba mieć przestrzelonych płuc, bo darł się wytrwale i mocno. Co do tamtych dwóch, przyznać trzeba, że trzymali się ostro. Trafiło ich w głowy i barki. Bez jęku pozwolili się opatrzyć. W jakiś czas potem wędrowaliśmy dalej; pokiereszowani — także konno. Cóż było robić — nigdzie żywej duszy, pola puste. Wystraszone chłopstwo siedziało w chałupach.

Miot pocisków przemknął i snuł się tylko zamierając melodją grozy pod sinoświetlistem niebem. Upał począł doskwierać, tuż nad drogą ubitą na klepisko drżało powietrze. Por. X. nękało coś niewyrażalnie przykrego, bezgłośny szept wyrzutu, skarga ziemi, nicość bezbronnych ciał, istniejących w jego pobliżu. Niedawno widziana krew była wciąż jeszcze żywą plamą w nieżywym blasku południa. W dzwonie niebios spiętrzał się strach, nie ten pospolity, arcyludzki, tylko nienazwany, spadający z międzyplanetarnych przestrzeni. Trwał w spiekocie, dygotał w drętwym migocie liści wierzb, w pomruku artyleryjskich gromów.

— Pan mówi — zaśmiał się por. X. — że to południce mnie straszyły. Możliwe, choć pierwszy raz o nich słyszę.

«Upływały godziny pochodu. W pewnej chwili ujrzałem kępę drzew i prowadzącą do niej aleję. Obok stała długa stodoła. Widoczne było iż tam, poza barykadą parku, kryje się pański dwór. Możeby zacni gospodarze opatrzyli moim ułanom ich rany. Choćby kropla jodyny i uczciwy bandaż. Obiad także przydałby się nam bardzo. Wysłałem naprzód szperaczy.

Por. X., skoro zobaczył, że jego wywiadowcy wywinęli się bezkarnie poza ów folwark, ruszył na czele swojego oddziału śmiało w tym kierunku. Skręcił w dróżkę wysadzoną jabłonkami, prowadzącą do wymarzonego źródła jadła i spoczynku. U zbiegu gościńca z ową aleją ujrzał nagle trzech ludzi, niezdarnie macających laskami gliniaste koleiny. «Ślepi» — przyszło mu na myśl. Powieki mieli przymknięte, stąpali z rozwagą, stopą węsząc podłoże.

—«To ślepcy, panie poruczniku, — stwierdził służbiście plutonowy, — ki djabli! aż trzech naraz»...

Niewidoma trójka zatrzymała się słysząc tupot końskich kopyt. Całem ciałem łowili fale ruchu spowodowane przemarszem.

Nie śmieli pytać — może to już wróg...

Szpaler drzewin prowadził wprost ku białej ścianie dworu, krytego szczerniałym gontem.

— Zdaje się — przypominał sobie porucznik — że na gazonie rosły jakieś kwiaty, wiem że trawnik był świeży i mocno zielony, przesiany zwiewnemi cieniami padającemi od drzew. Na długim ganeczku, przylepionym do wapiennej ściany, stał stół nakryty obrusem i talerzami. Po ścieżkach kroczyło wiele ludzi; tak samo jak tamci u rozstaju, poomacku. Dwie dziewczyny, trzymając się wpół, biegły w ich stronę. «Te może widzą» — błysnęło mu w głowie.

Lecz oczy przysłonięte bielmem objaśniły go najlepiej. Ludek niewidomych zamarł w oczekiwaniu, oprócz dziewczyn, które popędziły w ogród.

Porucznik zeskoczył z konia, skoro ujrzał kilka sióstr w brązowych habitach. Zażądał aby mógł porozmawiać z przełożoną, pojął że znajduje się w przytulisku dla ślepców.

Ułani pozsiadali z koni i popuściwszy popręgi, schronili się w ogrodowym gąszczu. Gromadka pozbawionych wzroku rozpełzła się powszędy. Paru tylko pętało się w pobliżu gazonu. W oddali leniwo pomrukiwała artylerja wroga. Porozumienie z siostrą przełożoną poszło jak po maśle. Bez wahania ofiarowała swoje usługi. Wszystko dla polskiego żołnierza. Fachowy opatrunek, obiad, podwody dla postrzelanych, owies i siano dla koni.

Rannych ułożono na trawie, i dzielne opiekunki ślepych zabrały się do pracy. Ułan trafiony w pierś znowu krzyczał przeraźliwie i uparcie, dwaj «dzicy» z humorem poddali się operacji. Jeden opierał się zmywaniu głowy wodą utlenioną. «Nie chcę być blondynem, — wołał, — jestem rasowym brunetem, i nie będzie mi do twarzy z blond kłakiem na czole».

Zaraz po przybyciu na miejsce por. X. kazał plutonowemu ubezpieczyć ich postój. Teraz usiadł pod drzewem czekając na posiłek. Z trudem otwierał powieki — raziło go światło. Nieruchawy i duszny obszar powietrza oblepiał go ołowiem. Niesamowitość południa sięgała szczytu.

Porucznikowi podano talerz zupy. Jadł ją powoli.

Chwilami posępna cisza puchła głuchem dudnieniem. Wtedy wahadło grozy kolebało się nad nim gnuśno. Błędnie — na ślepo...

Naraz stuknął ostro strzał karabinowy. «Cóż za matoł, — pomyślał porucznik, — gotów wskazać kierunek Niemcom». Kto, nie wiedział sam. Lecz zanim dźwignął następną łyżkę do ust, otrzeźwiający stukot zwielekrotnił się szybko. «Drugi — trzeci — czwarty» — liczył dowódca oddziału, przerywając posiłek. Prawie równocześnie posłyszał warkot motoru na obejściu za dworem. Wstał i ruszył w tym kierunku. Natychmiast wydał rozkaz: «Do koni!».

— Ujrzałem bladego pana z rękami wyciągniętemi dogóry — cywila w średnim wieku, — mówił por. X. — trzymanego pod karabinem przez mojego ułana. Prowadził ich plutonowy. Nieznajomy był upudrowany kurzem. Opodal w rowie wywrócony motocykl dygotał od wstrząsów działającego motoru. W głębi na drodze stał nasz «łazik» z żołnierską obsadą. «Panie poruczniku, — zameldował plutonowy, — złapaliśmy szpiega. Trzeba będzie rozstrzelać»... «Skąd wiecie że to szpieg?». «Panie poruczniku, znaleźliśmy przy nim mapy — pozatem uciekał »...

«W tej chwili, czy już może wcześniej, dobiegł moich uszu krzyk. Nie ten mojego ułana. Cienki, obłąkany krzyk kobiety — o parę kroków od nas. Zerknąłem wbok. Po podwórcu biegała wkółko dość szykownie ubrana pani z otwartemi ustami. Wtedy także pociski nawiedziły przystań ślepców.

«Wdałem się w rozmowę z domniemanym szpiegiem. Wrzask kobiety i łoskot dział głuszył nasze słowa. Okazało się, że jest zgoła niewinnym urzędnikiem lasów państwowych. Uciekał motocyklem ze swoją szwagierką przed Niemcami. Nie dosłyszał nawoływań moich żołnierzy, by przystanąć. Dopiero strzały nakłoniły go do zatrzymania. Doścignął go «łazik», który według słów plutonowego, także na niego polował. Co do map — są to mapy okolicznych lasów, któremi zarządzał. Zeznania potwierdził dokumentami...

«Uwolniłem biedną ofiarę żołnierskiej gorliwości. «Łazik» ruszył w swoją drogę; silnik motocykla przestał hałasować.

Nie dało się jednak odrobić wszystkiego. W ciągu tych kilkunastu minut — jak wynikało z opowiadania porucznika — działo się mnóstwo spraw w obrębie do niedawna spokojnego zakątka. Wymieńmy najprzód doniosłe: ułaskawienie niewinnie posądzonego, zapędzanie ślepców do rowu, by ochronić ich przed pociskami, przygotowanie wozów dla rannych, dociąganie popręgów koni ułańskich — jak i najzwyklejszych, codziennych objawów wsioskiego istnienia. Kaczki spacerowały obok brązowej gnojówki, tłukła się sieczkarnia, kury dziubały poślad, jakiś fornal wołał: «nastąp się!»...

Czas rozłupał się na części i sunął po dwóch torach. Mały odłamek tubylczego istnienia toczył się powolutku, drugi rwał błyskawicznie — ogromna bryła, miażdżąca, nabrzmiewająca pośpiechem.

Ponad tem wszystkiem grzmiały pociski wybuchające na obejściu, w ogrodzie, koło dworu. Lecz grozę wzbudzał dopiero ów krzyk kobiecy — nieustający, smagający niewymowną udręką ogrom świata.

Por. X. podbiegł do rozwrzeszczanej pani. Jasne jej oczy nie widziały, nieludzki strach uczynił ją furją rozpaczy. Nie pomogły żadne wyjaśnienia, słowa pociechy i otuchy. Darł się do niej, prosto w twarz, że jej towarzysz żyje i że jest wolny, że nic im nie grozi, że mogą jechać, niech się zabierają czemprędzej. Nie słyszała jego błagań, zdań wyrwanych spod serca, szczerych i czułych, rozkazów rzucanych brutalnie. Porucznik gonił za nią krok w krok. Histeryczne wycie nie ustawało, niosło się poprzez gwizd i łomot pękających szrapneli.

Zrozpaczony porucznik całował ją po rękach, modląc się by ucichła, pragnąc tego jakby dowodu najwyższej łaski. Nie mógł odjechać, nie uciszywszy tego alarmu obłąkanego serca ludzkiego.

Nagle poczuł, że ktoś obejmuje go wpół mocnym uchwytem. Porucznik obejrzał się. Przy nim stał ksiądz w czarnej sutannie. Potem łagodny rozkaz: «Słuchaj dziecko — ty się wyspowiadasz»...

Kobieta przestała na chwilę krzyczeć. Słowo «dziecko», wypowiedziane wówczas, dźgnęło go w serce. Wzruszenie, które skurczem trzymało go za krtań, runęło do czubka czaszki. Żachnął się i odmówił ordynarnie żądaniu.

Ksiądz nie wypuszczał go z objęć. Po raz drugi wyrzekł to samo. Nie prosił — żądał.

— Odpowiedziałem mu — ciągnął dalej — że nie mam czasu na spowiedź. Że muszę zabrać czemprędzej moich ludzi spod obstrzału. Nie przekonało to księdza.

«Oświadczył mi że nie muszę się spowiadać. On mi da rozgrzeszenie... Niech tylko uklęknę. «Nie zrobię tego na oczach moich ułanów» — odparłem.

«Ksiądz wziął mnie za rękę i wyprowadził z podwórza. Nie zwracał uwagi na wybuchy pocisków, zauważyłem iż miał dziurę w czarnej skarpetce.

«Wciągnął mnie w jakiś zakątek za stodołą i usiadł na rozwalonym stogu.

Wtedy por. X. ukląkł.

— Nie koniec na tem. Następnie ksiądz wyspowiadał żołnierzy. Gdy wstałem, orzekł: «Teraz kolej na podwładnych». Zapytałem ich czy chcą. Poszli wszyscy sznurkiem pojednać się z Bogiem.

Świat huczał nad nimi, ślepcy wraz z zakonnicami tkwili w rowie, szalejącej kobiety już nie było, ani jej towarzysza. Por. X. nie wie co się stało z motocyklem, czy był jeszcze w przykopie — nie pamięta. Pociski darły ziemię, we dworze brzęczały szyby okien — na ganku stał ów stół wciąż jeszcze nakryty...

W pół godziny potem zabrali się do wymarszu. Trafiony w piersi ułan jechał leżąc na wymoszczonym sianem wozie, dwaj inni, pokieszerowani w głowę, na drugim. Ksiądz towarzyszył im przy odjeździe. Porucznik dosiadał konia, i wtedy dopiero któryś z żołnierzy szepnął: «To ci z L.». W okamgnieniu przypomniał sobie mnóstwo spraw związanych z osobą tego księdza. On był przy śmiertelnem łożu Piłsudskiego. Zatrzymał konia i obróciwszy się na siodle, zawołał: «Czy ksiądz pamięta Zygmunta M.?». «Tak. — Gdzie on jest?». «Nie wiem — pewno na wojnie!». «A ty dziecko, jak się nazywasz?».

— Tupot kopyt zagłuszył moją odpowiedź, do reszty stłamsił ją artyleryjski grzmot.

Jechali szybko, aż do lasu. Około trzech kilometrów. Potem zwolnili, dotarłszy pod opiekę drzew. Ułani czuli się bezpiecznie, chociaż górą ciągnęły wracające z bombowego żniwa białe eskadry. Byli najedzeni, oczyszczeni z grzechów, wymigali się z ognia...

Porucznik nie mógł powiedzieć, aby spożył obfity obiad. Pozatem, chociaż dobrze już minęło południe i poczęła pierzchać upiorowatość złej godziny, gdy cienie karły czają się u stóp zetlałych przedmiotów — ścigały go widma. Czuł wiszący nad sobą pułap nieszczęścia ugniatający wszelakie istnienie. Wypadki dopiero co przeżyte roztkliwiły go także, dziwność wszystkiego co go spotkało zdawała się być muśnięciem jakiejś nowo odkrytej prawdy. Mijali laski, to znów szczere pola, tak samo jak rano. Tylko cienie ich postaci wybiegały daleko, lub skakały z pnia na pień sosen, czerwonych, ciekących rozgrzaną żywicą. Coraz niklej dochodził ich uszu huk dział, gasnął i cichł zwyciężony spokojem niebios, coraz czystszych.

Z któregoś z zagajników mijanych co parę stajań, wyszło na oddział por. X. trzech piechurów, umęczonych, utytłanych w pyle i błocie. Prosili, b-- im wolno było przysiąść się na wóz. Odmówił. Nie sposób było zabierać cywilną biedotę ze szlaków ucieczki wielomiljonowej rzeszy. Uczuł bezmierną żałość. Dodatnio ocenił swoje uprzywilejowane położenie, tem więcej wstrząsnęła nim bezdomność trójki wlokącej się w tumanie kurzawy. Ci ludzie stąpali jakoś nieporadnie, z wytężoną, bolesną uwagą. Nieśli ciężkie toboły.

— Szkoda, że przedtem spojrzałem w ich oczy — orzekł por. X.

Można powiedzieć że i tak porucznikowi powodziło się pod tym względem niezgorzej. Podążał traktem bezludnym, żadne pochody półumarlaków pędzonych paniką nie mąciły mu rozmyślań. Kto wie jednak, czy w tym właśnie dniu tego rodzaju dywersja nie pomogłaby porucznikowi utrzymać męską postawę aż do końca.

Tymczasem oddziałek zbliżał się do miejsca wyznaczonego do zbiórki całej brygady. Porucznik, posiadając mapy zdobyte na urzędniku lasów państwowych, czuł się panem położenia, bezbłędnie wiodącym swoją drużynę do celu. Dzień chylił się ku zachodowi, cisza piętrzyła się na wysokościach i opadała ku dołom ożywczą rosą. Pochód wydawał się przyjemną przejażdżką konną podczas wywczasów letnich.

— Właściwie powinno było być zupełnie przyjemnie — opowiadał.

Jednak tak nie było, mimo niemych próśb przyrody zapadającej błogo w przedwieczorny sen.

Wkońcu nadszedł kres wędrówki. Wielki szmat lasu krył parę pułków kawalerji. Wiadomo było że zbliżająca się noc nie będzie przeznaczona na spoczynek. Porucznik znalazł się w gromadzie kolegów, co powinno było znakomicie złagodzić srogość poprzednich godzin. Zdziwił się ujrzawszy kilkudziesięciu oficerów różnych szarż tkwiących w przydrożnym rowie, rozsiadłych pod krzakami, niemych, obojętnych. Zsiadłszy z konia, przemaszerował tam i z powrotem wzdłuż frontu kamiennych twarzy, poczęści ukrytych w dłoniach. «Cóż takiego mogło zajść?» — rozważał porucznik, wyciągając z przyjemnością nogi. Dzień ten, jak i parę poprzednich, zakończył się raczej powodzeniem w walce z wrogiem. Zapytał pokolei kilku znajomych, co się stało. Ledwo który raczył odburknąć niezrozumiale. Przyśpieszył kroku, zaczął się czepiać każdego kto mu się nawinął pod rękę. Oficerowie milczeli. Jeden siedział podparty, inny leżał nawznak wpatrzony w niebo, któremuś, zdaje się, dygotała broda. Odprawiono go machnięciem ręki. Zaczął biec przerażony ich niemotą, zmową ludzi wojny. Czuł się wyrzucony poza nawias jakiegoś nieszczęścia, które tamtych powaliło. Naraz ktoś go trącił. Przystanął. Był to major Gł.

— Zginął w dwa dni potem, gdyśmy odnosili zwycięstwa nad wrogiem — objaśnił mnie porucznik, który wbrew dotychczasowej metodzie nie patrzył mi w oczy.

Wzrok jego utknął w gzymsie kominka. Źrenice miał powiększone, wbite wytrwale w marmurowy desenik. Może jego oblicze przypominało któreś z tamtych... Mówił wyraźnie i z namysłem, lecz cicho.

— Major spojrzał na mojego orzełka na czapce i na nim zatrzymał wzrok. Potem rzekł opryskliwie: «Polski już niema. Pan może iść do domu, panie poruczniku. Nikt pana nie może zmusić do walki. Proszę się tylko na odchodnem u mnie zameldować».

Por. X. mówił coraz ciszej, prawie szeptem. Gzyms kominka musiał go bardzo zaciekawiać, ponieważ coraz łapczywiej śledził jego kształty.

— Potem major dorzucił: «Naczelny wódz uszedł do Rumunji. W ostatnim rozkazie zwalnia panów ze służby».

Nagle oczy porucznika pomknęły całkiem wdół kominka i stamtąd po kamiennej podłodze do jego stóp. Podszedłem do okna, nie patrząc już na rozmówcę.

— Major usiadł obok mnie — w rowie — i sięgnął do papierośnicy. «Zaraz będzie odprawa, — rzekł, — niech pan bierze «Płaskie», «Silezji» nie pozwalam ruszać» — zaśmiał się tępo.

«Mroczyło się, czekaliśmy — nie pytałem o nic. Zdawało mi się, że moje widma, które prześladowały mnie przez cały dzień, zostały zluzowane przez niemą oficerską gromadę, zamarłą w przykopie...

«Pojawił się dowódca brygady. Odprawa. Właściwie to samo co mówił major. Mamy złożyć broń. Kto chce, może do domu. Wódz naczelny Śmigły-Rydz zagranicą...

«Wtedy na prawym skrzydle oficerskiej braci zaczął ktoś szlochać. Ten wyłom w kamiennej ciszy osłabił nas. Płacz zachwiał naszym frontem, tak usilnie umacnianym przez całe piętnaście minut oczekiwania...

«Zewsząd słychać było łkanie. I ja się nie oparłem. Zachłysnąłem się łzami. Głośno — właśnie jak dziecko. Pan wie — byłem rozklekotany co się zowie».

«Ktoś ucapił mnie za kark. To on — mój dowódca. «Pójdziesz z nami do Francji — wołał — bić się dalej. Wojna nieskończona! Pokonamy wroga — głos jego potężniał — gdziekolwiek go spotkamy, — wszędzie. Nie becz, do czarta!». Pierwszy raz mówił mi «ty»...

Por. X. zamilkł — wróciłem na miejsce.

Mój rozmówca omiótł mnie wzrokiem — wątpię czy mnie dostrzegał. Był raczej tam, razem z brygadą.

— Krzycząc na mnie — szepnął porucznik — major Gł. ratował się przed tem samem czego ja nie uniknąłem. Ale mój dzień — pan przyzna...

«Padł rozkaz, aby nie mówić o tem naszym żołnierzom. O najściu bolszewików wiedzieliśmy wszyscy od dwóch albo i trzech dni. Żołnierze też. Ale to nie było niczem w porównaniu... Nikt z nas nie złożył broni, nikt nie poszedł do domu. Żeby pan wiedział, iż po owym dniu odnosiliśmy zwycięstwa. Wyzwolone od Niemców wsie witały nas z nieopisaną radością. Wraz z żołnierzami myśleli, że już nadszedł okres tryumfu. Tylko my oficerowie wiedzieliśmy, jak beznadziejne są te walki. Że za nami idą znowu Niemcy, że jesteśmy otoczeni przez nieprzyjaciela, że usiłujemy przebić się przez zaciskający się wokoło nas pierścień — na Węgry...

Dowódca skończył odprawę i zasalutował. Zapadła noc, — ciągnął drewnianym głosem por. X., — nie było czasu na rozpacz. Jeszcze jedna — nie wiem która — znowu bezsenna...

Por. X. powstał.

— Szklaneczkę Beaujolais — zaschło panu w gardle.

— Dobrze — odparł i usiadł z powrotem.

RAFAŁ MALCZEWSKI.

JÓZEF WITTLIN

WALKA Z CIEMNOŚCIĄ

Ja z wrogiem bić się nie umiem. Prowadzę z nim długie nocne rozmowy, jałowe dysputy, w których pragnę go przekonać, że nie ma racji, że powinien przestać być moim wrogiem. On milczy. Milczy uparcie, jest głuchy na moje argumenty i dalej prowadzi ze mną wojnę.

Kim jest mój wróg? Jest sumą zła wcielonego w miljony ludzi, ożywionych ideą zniszczenia wszystkiego co mi jest drogie. Moim wrogiem jest demon ciemności. Obojętne mi jego nazwisko. Istniał zawsze tam, gdzie nikczemność dochodziła do głosu, gdzie tchórzostwo organizowało się w przemoc i zalewało świat potopem krwi. Moim wrogiem jest odwieczny Cham. Głuchy na głos rozwagi, głuchy na głos serca.

Jakim językiem do niego mówić, żeby dobrowolnie skapitulował? Żeby skulił ogon i zaprzestał dzieła zagłady? Jak namówić ciemność, żeby ustąpiła przed światłem? Jakiemi sposobami poruszyć sumienie wroga (o ile wogóle posiada sumienie), żeby żałował swych zbrodni? Żeby zaniechał bombardowania miast, mordowania kobiet i dzieci, znęcania się nad bezbronnymi, poniżania i upadlania ludzi, znajdujących się w jego szatańskiej mocy? Rozum tego świata nakazuje na gwałt odpowiadać gwałtem, na mord — mordem, na nienawiść — nienawiścią. Ale nas uczono inaczej. Niektórych z nas zdołano napoić ową „paulińską trucizną", od której mój wróg pragnie zdezynfekować świat — ogniem swych bomb.

Smutno mi, Boże. Moi ziemscy i nieziemscy nauczyciele kazali mi kochać wroga. Gdy patrzę na fotografje, przedstawiające ruiny mego kraju, cmentarze na skwerach miejskich, groby na podwórzach stołecznych kamienic, pytam się swego sumienia, pytam się wzniosłych duchów, które to sumienie wychowały, czy mam kochać sprawców tego wszystkiego? Ale jednocześnie pytam się swego sumienia, czy przypadkiem i ja również nie ponoszę winy za to co się stało? Może trzeba było w latach poprzedzających katastrofę mocniejszym głosem wołać, wołać do utraty tchu, że ciemność nadciąga, że krzywda chodzi po ziemi i zrodzi jeszcze większą krzywdę, i taki zamęt powstanie w ciemności, że nikt nie odróżni krzywdzicieli od pokrzywdzonych. Trzeba było z płonącemi pochodniami iść przeciwko nadciągającej nocy, z pochodniami w sercu...

Zły los zrządził, że ofiarą demona ciemności padli nasi bracia i nasze siostry. Któż jednak przed Sądem Ostatecznym odważy się złożyć świadectwo, że dusze nieszczęśliwych ofiar nie były oparczone śmiertelnemi grzechami? W każdym człowieku tkwi zarówno kat jak i ofiara. Jak przezwyciężyć w sobie kata? Jak zwyciężyć wroga bronią anielską? Jak to zrobić — oto ciężkie zagadnienie narzucające się szczególnie nam, którzy w tej wojnie utraciliśmy nie tylko Ojczyznę, ale i wszystkie złudzenia. Walkę z wrogiem światła powinniśmy zacząć od walki z własną pychą. To ona we wrześniu 1939 r. była sprzymierzeńcem najeźdźcy. W polskich kołach emigracyjnych nie bez słuszności wskazuje się na to, że w obecnej chwili nie czas na szukanie winowajców wśród tych, co wzięli na siebie odpowiedzialność za los tak straszliwie doświadczonego kraju. Nie czas na oskarżanie kogokolwiek. Jedynem zadaniem w obecnym momencie dziejowym jest walka wszystkiemi środkami o oswobodzenie kraju. Ale proces moralny można już dziś rozpocząć. Powinien go każdy z nas wytoczyć sobie samemu, chociażby czuł się bez winy. W trakcie takiego procesu, niezwykle pożytecznego dla moralnego zdrowia zarówno jednostki jak i całego społeczeństwa, łatwo urodzić się może jakaś nowa siła, nieznana nam jeszcze, lecz siła, która nas powiedzie do zwycięstwa. Kto walczy o wolność ziemi, sam musi być wolny. Wolny od wszystkich cech wroga. Dużo mówi się w kołach polskiej emigracji o powrocie do dawnych tradycyj demokratycznych. Mówi się o potrzebie sprawiedliwości społecznej, o poszanowaniu praw jednostki, o ideałach chrześcijańskich. Istotnie, bez tych ideałów trudno pokonać barbarzyństwo, ciemność i gwałt. Jeżeli znów ma być na świecie jasno, musimy już dziś gromadzić w sobie energję świetlną. Dopomogą nam w tem zadaniu stare siły Zachodu, które nieraz już zwyciężały mrok.

Nasz wróg, wróg światła, kazał nam upaść tak nisko, że cieszymy się z jego strat, licytujemy się, kto komu więcej okrętów storpedował, samolotów strącił, ludzi pozabijał. Piękny świat. Ale Ten, kto świat stworzył i sądzi zarówno czyny jednostek jak i czyny narodów, wie, kto winien, że chrześcijanie stali się poganami a Ablowie Kainami. Sędzia spraw ludzkich zapewne i Polaków nie uzna za aniołów. Polaków co w koniecznej obronie przed demonem ciemności musieli chwycić za broń. Ale On wie, kto z miłości do zagłady morduje niewinnych ludzi i pali miasta i wsie, a kto przyjął walkę z musu i prowadzi ją w imię światła. Bóg nie jest neutralny. On, który obdarzył człowieka sercem, kazał ludziom dobrej woli, nawet tym, którzy stoją zdala od walki, sprzyjać tej stronie, po której jest światło. I nawet ślepcy odróżniają ciemność od światła.

Kto pragnie zwycięstwa światła, niechaj z siebie wypędzi mroki, a demon ciemności, nie znajdując sprzymierzeńca w naszych szeregach, sam zapadnie się w otchłań, z której powstał. Rozpłynie się w nicości, która go zrodziła, a poprzez łzy i lamenty sierot, matek i wdów rozlegnie się zdrowy śmiech miłośników życia.

Istnieją narody, które nie wstydzą się radości życia. Emigracja polska w Europie już nie po raz pierwszy ma szczęście być gościem takiego narodu, który żyć lubi, żyć umie i wie poco żyje. Istnieją wszakże narody rozmiłowane w śmierci, cudzej i własnej, rozkochane w mrokach, jakie śmierć za sobą niesie. Życie takich narodów nie może się obyć bez fałszywej mistyki, tak dalekiej od wszelkiej religijności. Ostatecznym nakazem tej fałszywej mistyki jest rzeź.

Chociaż Polska przechodzi najcięższą w swej historji próbę, próbę ognia, wierzy że nie zginie, lecz że wyjdzie z tego ognia oczyszczona, gdyż w walce światła z ciemnością wybrała światło.

JÓZEF WITTLIN.

AKTUALNOŚCI POLITYCZNE I WOJENNE

CHURCHILL PREMJEREM

Korespondencja własna „Wiadomości Polskich"

Londyn, 14 maja 1940.

Anglja rzuciła swoją dawno oczekiwaną kartę: Winston Churchill został premjerem. Premjerostwo jego przepowiadano zdawna i przy wielu okazjach. Wskazywano, że opinja angielska zgodzi się na Churchilla w chwili kiedy zrozumie grozę niebezpieczeństwa i że nominacja Churchilla na premjera będzie nieomylnym dowodem, iż wojna rozpoczęła się na dobre. Mówiono ze znaczną dozą słuszności, że Churchill jest tym atutem, który musi spaść w dosyć późnej fazie wojny i że stanowi on typ, który najlepiej nadaje się nie tylko jako przywódca w okresie krytycznym, ale również jako replika dla dyktatorów.

Churchill jest jedynym bodaj mężem stanu Anglji, który może stanąć do oczu dyktatorom. Ma podobne nieco do nich przeszkolenie: wyszedł z dziennikarstwa, jest mówcą wielkiej klasy. Trawi go niepokój człowieka czynu, rozpiera go wielka ambicja. Jest w nim rozmach godny obszarów «British Empire», jest w nim brutalna siła, której nigdy nie za wiele dla Zachodu.

Wskazywano słusznie, że na okres krytyczny wojny przyjść musi człowiek, który potrafi zmierzyć się z groźnym proletarjuszem niemieckim. Chamberlain był mimo wszystko uczciwym kupcem, który nie rozumiał ze wszystkiem dyktatorskiego szantażu i otchłani ludzkich instynktów. Jako człowiek klasy mieszczańskiej nie nadawał się całkowicie do gry, w której trzeba nie tylko odwagi i ryzyka ale wszelkich arkanów podstępu a nawet przemocy. Do takiej gry potrzebny jest albo wielki cham albo wielki arystokrata. Churchill, wiodący swoją linję od Marlborougha, autor wspaniałego życiorysu tego wojownika i wodza, jest arystokratą, który potrafi być piratem.

Dlatego wybór jest słuszny. Nawet jeżeli prawdą jest że Churchill r. 1940 nie jest naładowany tą energją co Churchill r. 1915, Churchill epoki kampanji w Gallipoli, Churchill obrazoburca generałów, nonszalancki i impertynencki cywil wśród szkifów i mundurów — to jednak olbrzymie doświadczenie, znajomość ludzi i rasa tego człowieka wróżą najlepiej.

Churchill zna wady i braki Anglji z poprzedniej wojny, wie, gdzie były sprężyny niedowładu Anglji, spóźnionego startu, wahania. Wie on, jakie nacisnąć klawisze, żeby sprężyć angielską energję, rozumie, czem jest hitleryzm. Posiada dar mówienia rzeczy poprostu i nieprzyjemnie. Zna swój naród i wie, że nie zlęknie się on najgorszego.

Churchill, pisarz polityczny, znakomity dziennikarz i korespondent wojenny, mąż stanu i pierwszy lord admiralicji, niepohamowany krytyk i trafny prorok, przyszedł po Chamberlainie, który ustąpił w momencie gdy — okazało się, że miał rację. Albowiem Neville Chamberlain bronił w Izbie Gmin swojego i rządu stanowiska w Norwegji twierdzeniem, że nie można się było zapuszczać w kampanję norweską z tego powodu, iż grozi uderzenie na bliższym froncie. Przewidywania Chamberlaina były słuszne, oparte na trafnych informacjach. Chamberlain mógł właściwie zostać na stanowisku premjera, ponieważ moralnie odniósł zwycięstwo. Ale nie chodziło tym razem o to, kto miał rację. Chodziło o gruntowną zmianę, o rzucenie hasła wojennego, o otwarcie nowej karty. Tego dokonać mógł już tylko inny człowiek, któremu Chamberlain przygotował drogę. Oddanie władzy przez Chamberlaina Churchillowi było jednem z najbardziej budujących widowisk demokracji.

W swoich artykułach i szkicach o Anglji podkreślam nieraz że instynkt jest zasadą, na której wspiera się dziwnie niewyrozumowana polityka angielska, zwyczaje i obyczaje tej wyspy. Porażki polityki angielskiej, jej nieprawdopodobne błędy — które usuwają w cień pomyłki wielu kontynentalnych polityków — wynikały w latach ostatnich z tego smutnego faktu, że polityka angielska zatraciła instynkt i że puściła się na niebezpieczne dla niej szlaki rozumowania.

Instynkt ostrzegał Anglję, że Rzesza jest straszliwym mechanizmem, który rozumie tylko mowę siły — mimo to Anglja starała się obłaskawiać to zwierzę, ale nie przez okazanie bata pogromcy, jeno przez łagodność spod znaku towarzystwa ochrony zwierząt. Przez powodowanie się rachubami rozsądku Anglja brnęła coraz bardziej i dalej, aż przekonała się wreszcie, że zwierz na wschodzie wyrósł i że teraz nie pomoże już nie tylko bat ale nawet i rewolwer. Trzeba całej wyprawy łowieckiej, zaopatrzonej w najlepsze Winchestery, ażeby ubić zwierza.

W Anglji budzi się instynkt — jak w zwierzęciu w chwili zagrożenia, w chwili niebezpieczeństwa. Ta zmiana dokonywa się dosłownie z dnia na dzień. Tworzy się to co nazwałem podstawowym psychologicznym warunkiem zwycięstwa: uprzytomnienie sobie faktu, jak strasznym przeciwnikiem jest Trzecia Rzesza. Anglja jest krajem tak silnym i wielkim, że może sobie pozwolić na prawdę.

Jednym z pięknych zasobów tego kraju jest to co możnaby nazwać stoickiem spojrzeniem na życie. Wśród liczmanów, jakiemi się często operuje w mówieniu o Anglji, jest także aksjomat iż Anglicy są niepoprawnie sentymentalni. Mało jednak — albo wcale nie mówi się o tem że jest to kraj mocno stoicki.

Gdy niedawno pewien Polak w rozmowie z wojskowym angielskim, którego dwaj synowie pełnią służbę na pokładzie łodzi podwodnej, wspomniał o «rough time (niemiłych chwilach)», przeżywanych przez nich, ojciec odparł: «Well, I think, they did enjoy it tremendously (Przypuszczam, że bawili się doskonale)». Na dnie tego powiedzenia kryje się właśnie ów stoicyzm, który urósł do roli filozofji życiowej Anglika.

Anglik, stojący bliżej świata zjawisk przyrody, niż wiele narodów kontynentu, Anglik miłośnik zwierząt, znający duszę zwierząt lepiej niż inne narody (tylko Anglja mogła wydać Kiplinga i jego «Jungle Book»), Anglik ma, chciałoby się powiedzieć, wcale chłopski stosunek do zjawisk życia i śmierci. Patrzy on na śmierć jako na składową część tej dziwnej i tajemniczej gry, która nazywamy życiem. Nie jest może bez znaczenia, że Anglja właśnie wydała teorję darwinowską i zasadę «survival of the fittest».

Jestem przekonany, że dzisiejsza Anglja zniesie dobrze wszelkie ciosy, jakie zadać jej może wojna najokrutniejsza z okrutnych, wojna wyniszczenia.

Churchill rzucił na stół zaraz w pierwszej mowie w Izbie Gmin swoje karty na stół: «nie obiecuję wam nic innego, jego krew, trud, mozół, łzy i pot». Powiedział bez osłonek, że przeciwnik, który dobiera się do bram Zachodu, posiada sumienie obciążone najgorszemi zbrodniami «w ponurym spisie ludzkich występków». Oświadczył, że Anglja walczy z najgroźniejszym przeciwnikiem, nie związanym żadną tradycją ani żadną uczciwością. Że zwycięży musi, albowiem to jest jedyna szansa przetrwania. Innego wyboru niema.

Słowa te padły w społeczeństwo pełne powagi. Słów takich właśnie oczekiwano. Skończyły się czasy złudzeń, wyśmiewania przeciwnika, przypuszczeń, że uda się naród niemiecki namówić do jakiegoś odstępstwa od Hitlera. Skończyły się czasy mów i zrzucania ulotek. Przyszły czasy czołgów i zrzucania bomb.

Anglicy rozumieją dobrze, że w świetle doświadczeń z pól Norwegji, Holandji i Belgji, opór stawiany przez polskiego żołnierza przedstawia się mocno inaczej, aniżeli sądzili to na jesieni ub. r. Uwierzyli nareszcie, czem była wojna w Polsce, mając dzisiaj tę wojnę pod bokiem. Wiedzą dzisiaj, że lotnictwo nie jest tylko efektownym akompanjamentem działań, ale straszliwym instrumentem ataku. Wiedzą także, że lądowanie wojsk przy pomocy spadochronów zostało niedocenione przez nich samych i że ich kraj, może stać się terenem podobnych eksperymentów jak Holandja. Nie pogardzi też Hitler sianiem zamętu na tyłach wyspy: w Islandji.

Anglja szanuje swoje pogotowie morskie, poczyniwszy w Norwegji i na morzu Północnem doświadczenia z bombowcami niemieckiemi. Anglja chowa swoją flotę na rozprawy u własnych brzegów. W działaniach w Holandji nie wiele słychać o posunięciach floty, być może że odezwie się ona basowym głosem swoich dział dopiero w akcji w Belgji, gdy trzeba będzie bronić Antwerpji. Fakt że Rotterdam dostał się w ręce niemieckie przedwcześnie, nie jest pomyślny — albowiem Rotterdam leży na niebezpiecznej prostej w stronę Londynu.

Trzeba szanować także flotę na ewentualną awanturę w basenie morza Śródziemnego. Włochy coraz bardziej rwą się do walki — a raczej coraz silniejszy staje się dyktat Hitlera wobec Mussoliniego. Jeżeli Włochy ruszą — może w formie mobilizacji na granicy francuskiej i wmarszu do szwajcarskiego Tessynu i Jugosławji — flota angielska i francuska będą miały pełne ręce roboty.

W chwili, gdy piszemy te słowa opinja angielska przewiduje rozpalenie się jakiejś nowej Marny. Zna się tu wagę tego słowa i wie się, co ono ze sobą niesie. Jeżeli Hitler zostanie osadzony w miejscu w tym czy innym punkcie Belgji, jeżeli wojna zacznie przybierać charakter pozycyjny, wojna długotrwała będzie wtedy nieunikniona.

Wojna taka jest niewątpliwie w interesie sprzymierzonych. Leży ona lepiej w ich temperamencie, dyspozycji ich dowództwa, ich potrzebie uzupełniania dalej swojego pogotowia i zgarniania materjału ludzkiego. Pytanie naczelne, jakie się waży teraz, streszcza się w tem oto: czy sprzymierzeni potrafią powtórzyć sytuację z r. 1914, a więc zwolnić tempo wojny? Czy zmuszą Hitlera do osłabienia tempa, do wyczerpania rozmachu? Czy też raczej bieg wypadków oraz nowe zastosowanie broni lotniczej sprawi, że obie strony będą musiały, volens nolens, przyjąć rozstrzygnięcie?

Na Zachodzie daje się wiele — może zbyt wiele — wiary opinji, że Hitler zmuszony jest do przyśpieszenia rozgrywki spowodu tych czy tamtych braków, takich czy innych względów na sytuację wewnętrzną kraju. Osobiście uważam, że w wojnie tej decyduje więcej niż się nam początkowo zdawało—osobiste nawyki i temperament Hitlera. Rzesza mogłaby wytrzymać zarówno czekanie jak i dłuższe kampanje, ale usposobienie Hitlera jest przeciwne temu. Prze on do szybkich rozgrywek, efektownych wyników, przygniatających akcyj.

I w tem upatruję sprężynę jego działania na Zachodzie. Hitler jest niewolnikiem pojęcia wojny błyskawicznej, która jest — jak się okazuje — czemś niebezpieczniejszem niż myślało wielu strategów.

Anglja może walczyć dłużej niż wszystkie państwa europejskie. Między położeniem Anglji i Rosji istnieje analogja. Oba mocarstwa rozporządzają przestrzenią — w różnym oczywiście sensie, ale nie mniej groźnym. Przestrzeń angielska jest stanowczo groźniejsza.

Nie będzie paradoksem powiedzenie, że Anglja pozostaje imperjum nawet po stracie wysp brytyjskich. Anglja może przerzucić swoje centra do Kanady, może sprząc się z zachodnią półkulą, przezimować niejedną zimę, prowadzić wojnę latami. W tym sensie Anglja jest niebezpiecznie elastyczna.

Nie znaczy to oczywiście, żeby Anglja liczyła się z możliwością eksmisji z Europy. Znaczy to tylko, że wojna ma taki charakter, iż Anglja raczej będzie prowadziła wojnę zza mórz i spoza terenu Europy, aniżeli złoży broń.

Takie są bowiem konsekwencje wojny totalnej. Stoimy u wstępu walki, której rozmiarów przewidzieć nie sposób, rozpętania się żywiołu, nad którym sam autor jego — Trzecia Rzesza — może stracić panowanie. Albowiem nie wolno człowiekowi bezkarnie wyzywać żywiołów ponad pewną miarę. Zuchwalstwo musi się zemścić.

Ale nim się zemści w niewiadomym dla nas terminie, Zachód Europy ma dzisiaj na ustach hasło: przejść nie mogą. Niema w tem haśle nic szumnego: jest sama naga biologja, wspaniała i groźna jak wszystko co powstaje z korzeni przyrody.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.

* * *

Na nizinach Flandrji, na tle krajobrazu z Breughela i młynów z płócien Theniersa, toczy się w chwili, kiedy piszemy te słowa, największa bitwa w dziejach świata. Największa — nie tylko przez ilość zaangażowanego w niej sprzętu wojennego i efektywów, ale również ze względu na stawkę o którą idzie gra. Flamandzki pejzaż widział już w toku stuleci i inne olbrzymie zapasy. Azincourt, Crécy, Rocroi, Jemappes, Valmy, Waterloo, niedawno Dixmude i Charleroi — oto kamienie milowe historji, nazwy batalij, które zadecydowały o granicach państw i imperjów. Tym razem jednak wynikiem rozgrywających się wypadków będzie nie tylko taka czy inna ilość anektowanych kilometrów kwadratowych, lub nowa linja graniczna. Pola Flandrji stanowią obecnie przedpola cywilizacji. Od czasu dojścia Hitlera do władzy linja demarkacyjna nie biegnie już na ziemi, nie wije się krętą serpentyną wzdłuż pagórków i rzek, lecz kontur jej jest wytyczony w sercach i mózgach. O zwycięstwo naszej zachodniej koncepcji życia, o sprawę gotyckich katedr, o rehabilitację humanizmu, o tryumf deklaracji praw człowieka, walczą obecnie armje sprzymierzone na pięćsetkilometrowym froncie, w chrzęście broni pancernej, przy akompanjamencie dział i karabinów maszynowych, które publicyście angielskiemu Garvinowi przywodzą na myśl infernalny Sąd Ostateczny i straszliwą muzykę trąb Apokalipsy. Szukając analogji w dziejach natrafiamy chyba tylko na bitwę na polach Szampanji (453), w której Rzymianin Aecjusz uratował świat zachodni od tyranji Attyli.

„Ici commence le pays de la Liberté" — brzmiał napis umieszczony na słupie przez jakobinów strasburskich nad brzegiem Renu w r. 1793. Na tle rozgrywających się wypadków napis ten nie stracił nic ze swej patetycznej aktualności. W obecnej przełomowej chwili nieśmiertelny duch dziejów Francji pulsuje w tym narodzie takiem samem potężnem tętnem, jak w epoce Ludwika Świętego, wojny stuletniej i Marny. Żołnierze francuscy, odwołani z urlopów na front, zdążający metrem na dworzec, chłopi z Owernji, rybacy z Bretanji, przekupnie z Marsylji, należą do tej samej rasy ludzi wolnych, którzy na zew Joanny d'Arc szli jak lawina w pospolitem ruszeniu na Orlean, lub na apel „Ojczyzna w niebezpieczeństwie", obdarci i bosi, z „Marsyljanką" na ustach, brali gołemi rękami pod Valmy armaty skoalizowanej Europy tyranów i feudałów. W tych godzinach pełnych dreszczu, w ową ciepłą wiosnę paryską, pochylając się nad komunikatami kwatery głównej, odczuwamy niemal fizycznie potężny dech historji Francji, przez której karty biegnie, jak motyw przewodni, refren wielkości, bohaterskie crescendo natchnienia. Historja Francji poryta świetnemi datami, jak sztandar popruty przez kule, otwiera na oczach świata nowy epiczny rozdział.

W jednej ze swych wypowiedzi Hitler zwierzył się Rauschningowi, że po pokonaniu Francji zamierza ją obrócić „w Lunapark, w miejsce rozrywkowe przeznaczone dla narodu niemieckiego, w którem Herrenvolk będzie mógł się ubawić od czasu do czasu". Ta płaska przechwałka cynicznego podpalacza świadczy o jego całkowitej nieznajomości psychologji Francuza. Może żaden inny naród nie złożył tyle dowodów najistotniejszego patrjotyzmu, wysokiego poczucia odpowiedzialności za losy państwa, niezmiernej żywotności, co naród francuski. Za maską powierzchownej lekkości kryje się u Francuzów taka powaga i taka moc samozaparcia, taka wytrwałość i taka siła ducha, o jakiej nie śniło się niemieckiemu Führerowi. Żaden pruski drill, żadna teutońska dyscyplina zmotoryzowanej hordy nie zastąpią francuskich walorów moralnych, o których Napoleon powiedział, że stanowią decydujący element w wojnie. Francja Dziewicy Orleańskiej i Verdun nie będzie Lunaparkiem, lecz grobem najeźdźcy.

Jako Polacy śledzimy ze szczególnem napięciem rozwój wypadków. Nad Sambrą i Mozą waży się bowiem nie tylko los cywilizacji zachodniej, ale i przyszłość Rzeczypospolitej. W toczącej się bitwie wspieramy naszych sprzymierzeńców zarówno żarliwą modlitwą, płynącą z głębi naszych serc, jak i zbrojnem ramieniem naszych bataljonów. Bije teraz godzina Francji, która jest zarazem godziną naszego czynu. Wierzymy w naszą świętą i słuszną sprawę, w misję Francji, w „gesta Dei per Francos". Pod sztandarami Bonapartego i Focha, pod proporcem Kościuszki i Poniatowskiego, pójdziemy ku zwycięstwu.

JULJUSZ GROT.

ROZMOWY O WOJNIE

NAGA WOJNA

Po wielu miesiącach niecierpliwego oczekiwania rozpoczęła się prawdziwa wojna. Jeszcze niezupełnie — jak powiedział onegdaj jeden z dyplomatów bałkańskich. Rzeczywiście, jeszcze wiele państw neutralnych czeka na swą kolejkę «protektoratu». Niektóre także czekają na możność obdarcia pobitego z portfelu i zegarka. Tkwi w tej koncepcji grube nieporozumienie. W takiej wojnie, jaka się obecnie rozwija, nie będzie miejsca w Europie, a kto wie, może i na całym świecie, na tego trzeciego, który korzysta gdy dwóch się bije. Hitlerowskie Niemcy upatrują w każdym zakątku świata swoje interesy. Pod tym względem Niemcy są rzeczywiście totalne.

Plan niemiecki przewiduje wojnę z całym światem. Pragnie uzyskać władzę nad wszystkiemi lądami, no i przedewszystkiem nad wszystkiemi morzami. Realizacja planu możliwa będzie jedynie po pobiciu Anglji, i dlatego Hitler dąży przedewszystkiem do zgniecenia Anglji. Norwegja i Danja były przygrywką do uzyskania wtórnych baz wypadowych na wyspy brytyjskie, w Holandji i Belgji znajdują się bazy podstawowe, więc po tamtych dwóch krajach — musiała przyjść kolej na nie. W ten sposób w rękach niemieckich znalazłyby się wybrzeża Europy północnej od Trondhjem po Ostendę. Dalszym celem byłoby odcięcie Anglji od sojusznika przez opanowanie wybrzeży francuskich, z równoczesnem wzięciem Francji w kleszcze armij zdążających od północy i — od południa, by zadość uczynić wojskowej tradycji niemieckiej z wzorem «Cannae» na pobicie nieprzyjaciela. O ile tymczasem nie zdołają się czołowym atakiem przedrzeć przez linje Maginota, lub dokonać próby opanowania skoczkami Irlandji.

Niemcy stosują system wojny «błyskawicznej», która ma na celu opanowywanie w możliwie najszybszy sposób terytorjów nieprzyjacielskich. W jak najszybszy sposób, czyli wszystkiemi sposobami. Niemcy zrezygnowali w tej wojnie z wszelkiego humanitaryzmu. Wystarczy spojrzeć na wystającą szczękę gen. von Blaskowitz lub w oczy gen. von Halder żeby wiedzieć, że u tych ludzi zamiast serca tkwi ostatnie wydanie «Cannae» Schlieffena i że wszystkie uczucia są temu poddane.

Dotychczas bito się o rozmaite rzeczy i sprawy, lecz dziś, gdy chciwość w najczystszej postaci spotyka się na polu bitwy z instyktowną obroną przeciw grabieży, gdy wszyscy partnerzy wiedzą że chodzi tu nie o pusty prestige lecz o realną bo własną skórę, miejsce t. zw. szlachetnej walki zajęło odrazu «catch-as-catch-can». I tak już do końca zostanie, póki jeden drugiego nie udusi.

W biegu paru setek wieków wojna przechodziła rozmaite formy i koleje, lecz dziś w epoce, którą chętnie filozofowie nazywają epoką puryfikacji wszystkich idej, wojna też «wyczyściła się» z niepotrzebnych naleciałości. Wróciła do formy z tych czasów, kiedy jedno plemię uderzało na drugie, by wymordować co się da wymordować, a resztę wziąć w niewolę. Los zwyciężonych w tej wojnie nie będzie inny, nie należy się łudzić. Także rzymskie «vae victis» znalazło wyraz w epoce ubezpieczalni społecznych.

W Starym Testamencie znajduje się ciekawy ustęp, dotyczący walk Izraelitów z któremś plemieniem wschodniosyryjskiem. Pan dał w ręce narodu żydowskiego zwycięstwo nad tem plemieniem, jednak pod warunkiem że Izraelici wyniszczą go doszczętu. Tymczasem plemię obfitowało w młode a piękne kobiety oraz sporą ilość dzieci. Po krótkiej naradzie zdecydowano, że wprawdzie mężczyzn trzeba pozabijać, ale ze względów ściśle gospodarczych należy pozostawić przy życiu kobiety i dzieci. Tak też uczyniono. Pan Bóg jednak nie wziął pod uwagę wyżej wymienionych ważkich powodów i po pierwsze, rzucił na Żydów wraz z klątwą, plagę głodu, chorób i posuchy, a nadto jeszcze wprowadził ich w duży kłopot szeregiem nieprzewidzianych wojen. Możnaby rzec słowami Ewangelji: kto ma uszy do słuchania, niech słucha! Wielcy mężowie stanu r. 1918 ogłuchli, zdaje się, pierwsi, mimo iż byli między nimi znawcy Pisma św. Podobno djabeł umie pracować i dobrotliwością, lecz napewno przedewszystkiem pracuje zawsze mądrą kalkulacją, którą nieświadomi nazywają «realizmem» lub «realną polityką ekonomiczną».

Jeżeli wojna przedstawia wartości ujemne, niewątpliwie wprowadza także i wartości dodatnie. Jedną z tych dodatnich stron współczesnej wojny jest jej demokratyzacja. Wszystkich ludzi — bez różnicy płci, wieku, dostojeństwa ,rozumu czy zasług — zrównała wobec rzeczywistej grozy niebezpieczeństwa wspólnego dla wszystkich. Król Haakon musiał się kryć przed cekaemowemi kulami i bombami lotników niemieckich narówni z ostatnim robociarzem swego królestwa. Dzieci księżniczki Juljany Holenderskiej są narażone na takie samo niebezpieczeństwo, co dzieci marynarza z haskiej dzielnicy portowej. Królowa Wilhelmina ma te same kłopoty co inna babka, która wcale nie jest królową. W tej najbardziej głębokiej dziedzinie uczuć ludzkich — miłości i nienawiści — łączą się ludzie lepiej i ściślej, niżby ich połączyło najbardziej nawet podniecające hasło polityczne. Niemcy, realizując front polityczny, zorganizowali mimowoli u narodów, które napadają, zwarty front uczuciowy.

Trzeba dodać na zakończenie, że słuchając nawet najbardziej entuzjastycznie brzmiących komunikatów niemieckich, można zawsze zacytować zdanie starego Goethego: «Begeisterung ist keine Heringsware, die sich einpöckeln lässt auf einige Jahre». I dlatego jesteśmy dobrej myśli.

ADAM STERBAŁŁA.

GŁOSY ŚWIATA

WOJNA IDZIE DO AMERYKI

Właśnie przed tygodniem (nr. 10 «Wiadomości Polskich» zastanawialiśmy się nad zagadnieniem neutralności Stanów Zjednoczonych rozwijając zapatrywanie jednego z naszych przyjaciół amerykańskich, który głosił, że Stany będą neutralne dopóki będą pewne zwycięstwa sprzymierzonych.

Gdyby się zaś miała sprzymierzonym noga powinąć, to...

Potwierdzenie tezy, wyłożonej w koleżeńskiej rozmowie, przyszło prędzej aniżeli się tego można było spodziewać. Niepowodzenie norweskie wywołało w Ameryce olbrzymie wrażenie i — co najbardziej charakterystyczne — właśnie przedewszystwiem w ośrodkach izolacjonistych. Zaczęto sobie zadawać pytanie: — czy aby zwycięstwo sprzymierzonych nadal jest zupełnie pewne, czy też trzeba gotować się już do wystąpienia?

W samem sercu nawskroś egoistycznie nastrojonego Middle Westu, mianowicie w Chicago, w «Chicago Daily News», dzienniku o «standingu» politycznym i autorytecie dorównywającym «New York Times»owi, odezwał się jego właściciel i naczelny publicysta, kandydat republikanów do wiceprezydentury Stanów, Frank Knox, jedna z czołowych postaci partji republikańskiej, a więc przeciwników Roosevelta, izolacjonistów.

Na pierwszej stronie swego pisma pisze Knox p. t. «Czas spojrzeć prawdzie w oczy», że siła i powodzenie ataku niemieckiego na Danję i Norwegję otworzyły Amerykanom oczy na niebezpieczeństwo, zagrażające im w razie zwycięstwa Niemiec. Z łamów tych samych «Chicago Daily News», które jeszcze bodaj przed miesiącem walczyły zaciekle z każdym odzywającym się, zrzadka prawdzie, głosem za czynną pomocą Ameryki dla sprzymierzonych, z republikańsko-egoistycznej reduty, śle Knox wezwanie do wzmożenia pomocy amerykańskiej dla Wielkiej Brytanji i Francji. Wzywając do zaprzestania propagandy izolacjonistycznej, Knox roztacza przed Amerykanami straszliwy obraz oczekującej ich — w razie zwycięstwa Niemiec — zguby. Oto, powiada, Niemcy obejmą posiadłości francuskie i brytyjskie w Indjach Zachodnich i usadowią się w ten sposób tuż obok kanału Panamskiego, co jest dla Stanów groźbą śmiertelną, przerywa bowiem łączność pomiędzy ich flotami na Pacyfiku i na Atlantyku. Gorzej, — powiada, — przecież rozpadnie się wówczas Imperjum Brytyjskie, Niemcy mogą chcieć usadowić się w Kanadzie. Mogą w takim wypadku Stany doczekać się rzeczy tak nieprawdopodobnej, jak wojny na własnem swem terytorjum. Jeszcze gorzej, — mówi dalej, — przecież grozi nam popadnięcie całej Ameryki Południowej, aż do Meksyku włącznie, pod wpływy niemieckie, a wówczas wezmą nas w dwa ognie!! Wniosek? — pomagać sprzymierzonym, gdyby zaś dostawy samolotów i broni miały nie wystarczyć i gdyby im się miała naprawdę noga powinąć, to...

Głos Knoxa, choć w Europie może się wydać przesadny, oddaje dokładnie przewrót, jaki dokonał się w opinji amerykańskiej na skutek niemieckiego ataku na Danję i Norwegję.

Od czasu kiedy Sumner Welles przywiózł uspokajające wieści na temat sytuacji sprzymierzonych — wszystko zmieniło się radykalnie. Propaganda niemiecka, działająca na kraje neutralne w Europie metodą przesadzania siły niemieckiej, zwycięstw oręża niemieckiego i wręcz nieograniczonych możliwości wojskowych Rzeszy — uczyniła błąd kapitalny, wysiliwszy się szczególnie w kierunku Ameryki. Zalewając agencje i dzienniki amerykańskie wiadomościami o swych skandynawskich tryumfach i przesadzając bez miary, osiągnęła skutek akurat odwrotny od zamierzonego: — nastraszeni, «neutralowie» europejscy tracą może tu i owdzie chęć oporu, ale nastraszona Ameryka właśnie chęci oporu nabiera, bo ma poprostu zbyt wiele do stracenia, a słusznie pokłada nieograniczone zaufanie we własne siły.

Ameryka zrozumiała w ciągu ostatniego miesiąca, że jeżeli nawet ona nie idzie do wojny — wojna idzie ku niej. Wcale nie w przenośni, ale w ścisłem, geograficznem tych słów znaczeniu. Islandja i Grenlandja — były krajami króla duńskiego. Grenlandja — była poprostu posiadłością duńską. Jeżeli Niemcy roztoczyli «protektorat» nad Danją, oznacza to, iż roszczą pretensje do posiadania Grenlandji, bezpośrednio sąsiadującej nie tylko z Kanadą, ale ze Stanami Zjednoczonemi. Niemcy zjawiają się w bezpośredniej bliskości brzegów amerykańskich, i prasa amerykańska, zarówno mniej jak i bardziej i najbardziej izolacjonistyczna, nie cofa się przed grożeniem Niemcom wojną na wypadek gdyby zechcieli zawładnąć bądź Grenlandją bądź Islandją. Równocześnie jednak — izolacjoniści amerykańscy bardzo dokładnie wiedzą, co ich przed wojną, której się tak bardzo obawiają, broni.

Oto sam przywódca izolacjonistów, najchętniej w Berlinie cytowany, senator Hamilton Fish, oświadcza: «Nie powinniśmy się obawiać zajęcia sąsiadujących z nami posiadłości norweskich czy duńskich, a głównie Islandji czy Grenlandji dopóki flota brytyjska włada nad morzami»...

Najazd na Belgję i Holandję posunął proces zbliżania się wojny do Ameryki bardzo znacznie naprzód. Po raz pierwszy od września 1939 r. zagrały uczucia i doszły do głosu, mimo tamponów nakładanych przez zbliżający się termin wyborów prezydenta. W depeszach do króla Leopolda belgijskiego i królowej Wilhelminy prezydent Roosevelt już nie zawahał się użyć słów «siła i agresja wojskowa», kwalifikując działania Niemiec. Bądźmy szczerzy — w okresie najazdu na Polskę z amerykańskiej strony urzędowej wystrzegano się skrupulatnie podobnych określeń i nie użyto ich ani razu.

Ale znów, nie tylko w przenośni napad na Holandję i Belgję zbliżył wojnę do Ameryki. Holenderskie Antylle, Curaçao i Aruba z plantacjami trzciny cukrowej i rafinerjami nafty leżą tuż u bram Ameryki. Za zgodą prezydenta Roosevelta znajdują się tam już od szeregu dni garnizony wojsk kolonjalnych brytyjskich i francuskich. Ameryka nie chce dopuścić nawet teoretycznej możliwości władania Niemiec w sąsiedztwie swych brzegów.

Wojna idzie do Ameryki nie tylko od strony Atlantyku. Niepokojąco zaczyna wyglądać sytuacja i od strony Pacyfiku. Co się stanie z Indjami Holenderskiemi? Czy kto wyciągnie po nie łapczywe ręce? Nie ulega wątpliwości, że Ameryka dotrzyma słowa, danego przez Cordell Hulla, i nie zniesie zmian w stanie posiadania cennych i leżących w strefie bezpieczeństwa amerykańskiego wysp. Zresztą wiedzą o tem nawet w Niemczech, bo właśnie «Frankfurter Zeitung» zwróciła uwagę, że po raz pierwszy od wojny światowej amerykańska flota wojenna popłynęła na manewry w stronę zachodnią Pacyfiku i po raz pierwszy od 1918 r. przekroczyła 180-ty południk, który na podstawie — nieobowiązującego już zresztą — układu waszyngtońskiego z 1922 r. miał być nienaruszalną granicą dla flot japońskiej od zachodu i amerykańskiej od wschodu.

Ale nie tylko ten sam wróg zewnętrzny zagraża Ameryce i sprzymierzonym. Ameryka odczuwać zaczyna również działania niemieckiej metody «ataku od wewnątrz». I od tej strony wojna idzie do niej. Pogromca bandytyzmu, szef federalnej służby śledczej, J. E. Hoover, oświadczył publicznie, że «jak wydał przed kilkoma laty wojnę gangsterom, tak teraz wydaje wojnę gangsterom innego rodzaju, zjednoczonym niszczycielom rosyjsko-niemieckim, którzy stosując, jak w Norwegji i Holandji, metodę konia trojańskiego, podejmują próbę zniszczenia od wewnątrz amerykańskich instytucyj demokratycznych, kulturalnych i wolnościowych».

Ma więc i Ameryka swą «piątą kolumnę» jak występują tam i inne oznaki tego, że wcale nie na Europie kończyć się ma niemiecka tendencja dominacji. Świadomość grożącego jej niebezpieczeństwa wzrosła w Ameryce bardzo znacznie, ale mimo wszystko nadal miarodajna dla oceny pozycji amerykańskiej wobec wydarzeń europejskich pozostaje wnikliwa ocena Denys Smitha, waszyngtońskiego korespondenta «Daily Telegraph»u: «Najnowsze akty agresji niemieckiej oświeciły opinję amerykańską co do rozmiarów rzeczywistego niebezpieczeństwa, ale mimo to jest ona nadal zdecydowana trzymać się poza wojną przynajmniej w sensie ściśle wojskowym. Dopóki Stany pogrążone będą w wirze walki wyborczej, niebezpiecznie jest nastawać na identyczność interesów amerykańskich i angielsko-francuskich. Oświadczenia tego rodzaju mogłyby być wyzyskane w propagandzie wyborczej i przedstawione jako wysiłki zmierzające do wciągnięcia Ameryki do wojny. Kiedy jednak wybory miną i wydarzeniom będzie można szczerzej spojrzeć w oczy — politycy amerykańscy będą w stanie wyraźniej połączyć interes amerykański ze zwycięstwem sprzymierzonych».

Przyczyna ofensywy niemieckiej na państwa neutralne, tej ofensywy która tak znacznie przybliżyła wojnę do Ameryki — wyjaśniła sobie Ameryka sama bodajże w dniu, w którym pierwsze kolumny niemieckie przekroczyły granicę holenderską. Ukazał się mianowicie w Ameryce pewien dokument, który — powiedzmy odrazu — udowadnia, że Hitler znalazł się w położeniu przymusowem i że musi wojnę zakończyć w ciągu najbliższych miesięcy letnich i jesiennych, w przeciwnym razie bowiem grozi mu katastrofa wewnętrzna. Dokument nie jest dziełem propagandy. Amerykański departament rolnictwa w ramach publikacyj czysto fachowych, interesujących normalnie tylko dość ograniczone koło ekonomistów, ogłosił mianowicie raport o sytuacji gospodarczej, a głównie aprowizacyjnej Niemiec, sporządzony przez swego urzędnika H. L. Franklina, eksperta wyżywieniowego, który po dziesięciu latach pobytu w Niemczech, wrócił obecnie do Ameryki.

Franklin twierdzi w swym raporcie, że podczas poprzedniej wojny blokada sprzymierzonych w połączeniu ze spadkiem wytwórczości niemieckiego gospodarstwa rolnego wywołała ostateczną katastrofę żywnościową. Głównem zadaniem gotującego się do wojny régime'u narodowo-socjalistycznego było zaradzenie możliwościom podobnej katastrofy w wojnie obecnej. Pomimo jednak podejmowanych od 1934 r. w coraz szerszych rozmiarach wysiłków, mających na celu stworzenie samowystarczalności wyżywieniowej, rolnictwo niemieckie produkowało po pięciu latach starań, t. j. w r. 1939, dokładnie taką ilość produktów spożywczych, jak przeciętnie w latach 1909 — 1913, czyli około 80% zapotrzebowania. W nieco większym stopniu samowystarczalność osiągnięto w dziedzinie produkcji cukru, ziemniaków, kapusty, marchwi, śliwek i wisien. W nieco mniejszym — w dziedzinie produkcji zboża, ale wręcz fatalnie przedstawia się sytuacja w dziedzinie produkcji mięsa i tłuszczów jadalnych.

W czasach normalnych Niemcy konsumowały rocznie 1 800 000 tonn tłuszczów jadalnych rocznie. Połowa tej ilości musiała być wwożona. Zważywszy że armja i robotnicy, zatrudnieni w przemyśle wojennym, otrzymują rację tłuszczowo-mięsne o 25%. niższe, niż przed wojną, racje reszty ludności muszą być zmniejszone bodaj o 60 —70% dla wyrównania braków.

Wedle niemieckich danych urzędowych, wyżywienie niemieckiej rodziny robotniczej w 1937 r. było o 15%. niższe od przeciętnej światowej.

Jeżeli zważyć że wyżywienie to uległo redukcji co najmniej o dalszych 50% — trzeba, zdaniem Franklina, przyjąć za pewnik, że niedożywione już przed wojną społeczeństwo niemieckie pozostaje obecnie bardzo znacznie poniżej norm, które wytrzymać może na czas dłuższy organizm ludzki.

Najazdy na Danję, Norwegję, Holandję i Belgję znacznie pogorszyły ten stan rzeczy, gdyż zamknęły przed Niemcami korzystne drogi dowozowe, z których korzystały one w ciągu pierwszych miesięcy wojny.

Franklin dochodzi w końcu swego raportu do wniosku, że sytuację aprowizacyjną Niemiec w r. 1940 można porównać z ich sytuacją w r. 1918. Ta zaś sytuacja dyktowała Niemcom wówczas złożenie broni, a dziś «Blitzkrieg» — postawienie wszystkiego na jedną kartę i podjęcie próby zakończenia wojny przed zimą 1940/1 r. Tę próbę Hitler podjął.

OBSERVER.

Przypominamy że czas odnowić prenumeratę (we Francji fr. 35.—) za miesiące **czerwiec, lipiec i sierpień** b. r.

SZKICOWNIK POETYCKI

I

Dziewięciopiętrowy, biały i współcześnie prosty budynek. Na nim, wysoko, jedyna ozdoba: rydwan metalowy, pozłocisty, i konie z marmuru, wzniesione i stężałe w galopie.

Woźnica, pochylony naprzód, zachęca je do skoku w dal.

Nie wróżę tym rumakom wiecznego zahamowania, woźnicy — długiego marmurowego żywota.

Zaklęte w niedokończony ruch, wyłamią się te rumaki może już wkródce spod prawa rzeczy martwych.

Podcięte uderzeniem bomby, ożyją i spłoszone skoczą z fasady w ulicę, ciągnąc strzępy rydwanu i białego trupa woźnicy.

Apoteoza cywilizacyjnej pychy, fronton bogatej kamienicy w stylu neogreckim, runie w proch uliczny, na asfalt, na żwir szyb potłuczonych, w leje ziemne, pełne szyn skręconych.

Bo nadszedł czas pokory dla ludzi i rzeczy! Był czas budowania, jest czas burzenia! A w przyszłości już nie ponad siebie nam budować! Poniżej siebie —: krecie, szczurze rowy, schrony, czeluście. I głowy nie zadzierać — i opaść na cztery łapy.

II

Jak dom pajęczy, człowiecze,
Mieszkanie twoje z żelazobetonu!
Nie uratuje cię dwudziestowiecze
Twojej cywilizacji!
Z liściem jaworu, dębu czy akacji,
Uschnięty, snujesz się, błąkasz,
Bez nieczułości listowia,
Bez wytrwałości pająka...

III

Jesteśmy serca mrozem zwarzone,
Jak rude owoce głodu —
Wiosną nieuleczone,
Mgłą otoczone bladą,
Zbyt długim smutkiem uprzykrzone Bogu...

IV

Z kościelnej wieży, śpiżowy globus, turkusowo zzieleniały, runął, strącony pociskiem armatnim.

Toczył się ulicą wśród ryczącego, gwiżdżącego, wybuchającego chaosu, wśród totalnej ciemności pożarowych dymów, niskim pułapem wiszących nad miastem. Aż się zatrzymał przy kopcu wyrwanej ziemi i tam już osiadł. Podczas krótkotrwałej przerwy w nalotach, zebrały się małe dzieci, otoczyły go, dosiadały, próbowały, ruszyć z posad.

Ziemia przyciągnęła ten planetoid kilkumetrowego obwodu, świat, który czuł się bezpieczny obok złotego krzyża kościelnego, a znał tylko dotknięcie deszczu, gradu i stóp gołębich.

V

Nieznanego Żołnierza ogniem płonie grób...
Wkoło mijają przechodnie... zwykli przechodnie.

A gwiazdy wgórze już wiedzą,
Gwiazdy dalekie, nieczułe,
Że wielu z nich wkrótce tych samych płomieni,
Z tym samym wojennym i gorzkim tytułem,
Dosłuży się tu, przy tej bramie, w tem mieście, najpiękniej, najgodniej...
Cywilni rycerze i młode rycerki...
Płoną ognie: czerwonym liściem, modrym spłonem,
Ciągle błagalne i nieukojone,
Bo jest już w powietrzu drżenie, cień rozterki...

VI

Wciąż słyszymy i czytamy o tem jak ma być w przyszłej Polsce. „Będzie rządzona przez lud". „Nie, przez młodzież". „Nie będzie w niej miejsca na antysemityzm". „Musi być królestwem". „Usuwaną dotychczas nabok kobietę dopuści do rady". Albo: „Nie będzie miejsca w Polsce na antysemityzm, bo Żydów zawczasu się powyrzuca". Całkiem jak kiedy teologowie dysputują jak będzie w niebie!

Mówcie co chcecie, byle ziściło się to niebo!

Byle już było nareszcie!

A damy sobie z niem radę!

VII

Uwięzione są wiosenne skowronki w naszych duszach! Nie wolno im z radością życia wylecieć w majowe niebo!

Wróćmy na godzinę myślą do kraju. Tam czeka na nas uśmiech nasz. Zamknijmy oczy. Jesteśmy u kresu krakowskich Błoń. Ostatnia ławka. Co za jasność! Jakbyśmy zdjęli z twarzy mglisty welon. Tak tu istotnie, rzeczowo i barwnie!

Skręcamy sobie na prawo, ku Bronowicom... Jaskry i kaczeńce opryskują złotem trawiaste bagna. Skowronek jest i jak drobna i wesoła ćma dzienna trzepoce się na szybie błękitnego przestworza.

Dlaczegóżby nie miał być?

Jest i kurz i błoto, równocześnie, jak to u nas.

Bo u nas! Idzie baba, nasza jak się patrzy, rzęsista w swoich krótkich namarszczonych kieckach, męskich butach, w swoim kaftanie, obramowanym koralami i haftami, aksamitnym, o barwie sinej jak liść kapusty.

Baba mówi: „Niechże będzie pochwalony" i poprawia swoją płachtę z koszem na plecach.

A cóż innego miałaby powiedzieć?

Idziesz dalej. Czeremcha, popielata jak kur, zwisa z drzewa chudemi gronami, pachnie, nie zwodzi... ponad wszelkie olejki zagraniczne!... Zerwij, weź, to twoje. Tylko nie za wiele! i tak nie doniesiesz...

Zbliżasz się do pierwszej chaty. Niebieska, dwojgiem okiennych oczu patrzy najpoczciwiej. Wszystko w niej jak zawsze. Bo lud, jak mech, jak trawa, nie ulega burzom, nie łamie się w huraganie! Giną sosny wybujałe a kruche, rozłożyste wierzby, które ściągają piorun ku sobie za djabelską sprawą, padają stare dęby samotne na wzgórzach... Tu zaś jak było tak i jest.

Możesz wejść, napić się kwaśnego mleka w tej oto chałupince — nic cię tu nie zadziwi, nic nie obudzi ze snu!

Są tu wkoło bzy, wyblakłe, poszarzałe od zbytniej pogody. Bocianie gniazdo zdobi sam środek dachu, wraz z ptakiem uparcie stojącym, jako nadbudówka — niby glorjeta pałacowa!

Zielony plusz aż zwisa z tego dachu... Jak dawniej, jak zawsze. — Jedzie pusta drynda: człap, człap...

Zatrzymujesz ją i każesz się wieźć do swojego domu.

Adres jeszcze pamiętasz przecież?

Rozgrzana słońcem jest cerata pojazdu, gumska stare, i znana, trochę pijacka twarz dorożkarza. Na taryfie mrowi się przed tobą, obok polskiego, obcy język, ale swojskość jest tak bezgranicznie nasza! budka przed parkiem Jordana tak na swojem miejscu! smarkaci rowerzyści, goniący się „wyścigowo" pochyleni, tacy krakowscy! Wawel stoi, o jedną nową kartę legendy swej bogatszy, bardziej jeszcze historyczny... Wzgórza pod nim szmaragdowe.

Kasztany szaleją kwiatem i zdrową zielenią. Jeden różowy...

Byle jeszcze dotrwać w tym śnie do progu domu rodzinnego!

Już dojeżdzasz. Już go widzisz. Ten sam, zwyczajny.

Klękasz, opierasz znużone czoło na tym progu.

A to już poduszka, od łez twoich mokra, nie żaden próg...

VIII

W „Jardin des Plantes" małpa, spostrzegłszy że zwierzęta szaleją, słysząc syreny, ich krzyk metalowy, nauczyła się głosy te naśladować.

Powtarza go dokładnie. Straszy dzieci, kobiety i uwięzione stworzenia.

Lwy rzucają się jak oszalałe w swoich klatkach, wilki drżą na całem ciele, pingwiny chowają głowy pod skrzydło. Nieopisane wrażenie sprawiła na nich pierwsza paryska alerta. Odtąd biorą się na małpie figle.

Słyszały głos zbiorowego człowieka. Po ryku osądziły wielkość potwora. Był to głos wojenny, smutnie rozwścieczony, rzucający wyzwanie.

Małpa, dla której niema nic świętego, ta o „śmiechliwem ślepiu", która w dziwnym wierszu Leśmiana przedrzeźnia pokolei: „orła, gdy ranny strzałą wlecze po ziemi niewarte ciało"; potem „lwa" gdy na barłogu kłem spłoszonemu zagraża Bogu; wreszcie nawet „wieczności minę, kiedy z zaświatów schodzi w dolinę" — teraz, w małpiej swojej śmiałości przedrzeźnia ludzką śmierć, śfinksicę śpiewającą, i szydzi z intuicji lwów...

Paryski ogród zoologiczny, znając wstręt zwierząt do alarmowych dźwięków, buduje teraz schrony podziemne, gdzie syreniego wycia nie będą musieli słuchać ci niewinni. Małpie zaś wróży wiersz Leśmiana marny koniec: śmierć, jej własna, której nie potrafi ona ani rusz zrozumieć, raczy ją kiedyś przydeptać w milczeniu, niewyśmiana, nieprzedrzeźniona...

IX

Poznałam niedawno pewną cudzoziemkę: miała ona jakby lekką pretensję do kilku przyjezdnych Polek, które przeżyły oblężenie Warszawy, że nie posiwiały.

Mówiła o tej kwestji z pewnym smutkiem, jakby z rozczarowaniem.

Niemniej dziwny wydaje mi się trafiający się, dziecinny żal do niektórych, osób, że nie popełniły samobójstwa.

Samobójstwa, czynu zależnego od stanu sił, od wytrzymałości lub niewytrzymałości nerwów!

Ani osiwieć umyślnie nie można, aby uczynić interesujące wrażenie, ani broni skierować ku sobie.

Można być nieszczęśliwym a zdrowym. Porażenie cebulek włosowych, porażenie instynktu samozachowawczego nie zależy od nas.

X

O ludzie, jakże was mam dosyć!... Siedząc na ławce w obcym ogrodzie przeżywam żal mój do tych, którzy całe moje życie wojną urozmaicali. Jedną stałą wojną, gdyż — nie łudźmy się — od tak zwanej wielkiej, trwa ona, długiem tylko zawieszeniem broni pozornie przerwana.

Piękny to był pokój, w którym nie przestawano nas ani na chwilę straszyć L. O. P. P. em, maskami gazowemi, plakatami ostrzegającemi: „Zginiesz straszną śmiercią, jeśli" i t. d. (Wciąż o gazach!).

I nie bez racji!

A więc złamano mi życie tą wojną. Mam prawo otrząsać się na świat.

Wrony kołują nade mną, pod słońcem, które jak okrągły opal lśni za mgłą.

W zimnie poranka odczuwam ciepło ich piersi nad sobą, piersi lśniąco czarnych. Słuchajcie ptaki, a możeby do was się przenieść? Jakimś czarem, jakimś śmiertelnym cudem?

Czy z wami nie łatwiej byłoby żyć? W gromadzie, wśród swoich, a tak daleko od ludzkiego świata?

Kraczą: — wydaje mi się że rozumiem ich odpowiedź:

„Nie, nie do nas, nie do nas! Stroszymy pióra nasze z zimna, robactwo doskwiera nam jak tym, najofiarniejszym z was, cierpiącym w rowach strzeleckich...

„Patrz, zgrupowane na gałęziach, coraz to podnosimy skrzydła, przysuwamy się, jedna do drugiej, upraszając się nawzajem o przyjacielską przysługę odwszenia. Żywimy się z trudem, z wielkim nakładem sił i cierpliwości.

„Żyjemy krótko.

„Jak wy podczas wojen...

„Niepewność jutra, wieczne ubóstwo naszym są udziałem.

„Nie do nas, serce spragnione wypoczynku, nie do nas!

„Pod dzieci nasze podścielamy puch z własnej piersi, bo żebracy jesteśmy.

„Dobytek nasz i grosza nie wart: gałązka, która nam się spodobała, szmatka znaleziona, kłębek wełny ze śmietnika. Jednak nie pytamy o nic, wypełniamy dumny obowiązek nasz: trwać.

„Splatamy gniazda-koszyki, z pietyzmem dla niezmiennej przyszłości: naszej nędzy. Bezradne krakanie — oto wszystko co mamy do powiedzenia.

„Dajemy się nieść woli Bożej. Koliście przepływamy nad tobą, odczuwamy smutek twój. Nieraz strzelają do nas ludzie.

„Patrz, tam, na trawniku, jedna z nas, przydeptując śliską ziemną wiłę, wyrywa z niej życie... Skazane nie tylko na nędzę, na trwogę, ale i na popełnianie morderstw, na żałobę naszych piór, kraczemy: „Wojna! Wojna!".

„Wieczna wojna! Gdzie jej kres?".

„Gdzie kres?".

MARJA PAWLIKOWSKA.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (10) «Wiadomości Polskich» (6 ilustracyj): *Ksawery Pruszyński:* Ich francuska wiosna. — *Marja Winowska:* Kardynał stu kościołów. — *Wacław Grzybowski:* Książę: Hipoteza. — *Juraj Slavik:* Pan Frank na ulicy Szopena. — *Bolesław Miciński:* O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji. — *Arkady Fiedler:* Biada zwycięzcy! Z cyklu «Gorąca wieś Ambinanitelo». — *Zbigniew Grabowski:* Atak idzie na Anglję? Korespondencja własna «Wiadomości Polskich». — *Józef Radzimiński:* Taka jest właśnie granica... — Aktualności Polityczne i Wojenne. *Ferdynand Zweig:* Zasłony dymne hitleryzmu: Ideologja na usługach polityki. *Observer:* Głosy świata: Neutralność Stanów Zjednoczonych. *Adam Sterbałła:* Rozmowy o wojnie: Mistyka wojny. — *Marja Danilewiczowa:* Wydawnictwa «Kohorty». — Ze sceny. — Głosy francuskie o Polsce. — Literatura polska na wygnaniu. — «Wiadomości Polskie» sprzed lat osiemdziesięciu pięciu. — Extraits et résumés, en français, des articles paraissant dans ce numéro.

POETA JAPOŃSKI KU CZCI POLSKI

Tradycyjnym i najbardziej rozpowszechnionym rodzajem poezji japońskiej są utwory, zwane „tanka", wyrażające jakieś krótkie spostrzeżenie lub sentencję moralną i składające się 31 sylab. Utworów tych właściwie nie można tłumaczyć na obce języki, gdyż o ich wartości — poza myślą zasadniczą — stanowi wyszukana forma kaligraficzna, polegająca na doborze pięknych liter chińskich.

Astaro Miyamori, profesor uniwersytetu Meidzi w Tokjo, jest jednym z najwybitniejszych współczesnych poetów japońskich. Świeżo opublikował szereg poematów „tanka", które — według jego słów, wypowiedzianych w wywiadach prasowych — „wyrażają właściwy stosunek społeczeństwa japońskiego do ostatnich wydarzeń politycznych".

Oryginały trzech poematów, poświęconych wojnie w Polsce, napisane na specjalnych arkuszach jedwabnego papieru o długości 1 m i szerokości 10 cm — zostały przez autora ofiarowane Tadeuszowi Romerowi, ambasadorowi Rzeczypospolitej w Japonji.

Wolnego przekładu z japońskiego dokonał Aleksander Piskor.

NIEGODZIWY „WÓDZ"

Spowodu jednego niegodziwca,
Który się «wodzem» kazał nazywać,
Cała Europa została krwią zalana.
O jakżeż boleśnie to trzeba przeżywać!

ZMARTWYCHWSTANIE POLSKI

Ja tęsknię za tym dniem,
Który — wierzę — nadejdzie wkrótce,
Gdy biały orzeł rozwinie skrzydła znów
I wolny, wzbije się pod słońce.

DUCH POLSKI

Niestety! Polską ziemię
Wrogowie opanowali prędko.
Ale szlachetny polski duch —
Któż zdoła kiedykolwiek go ujarzmić?!

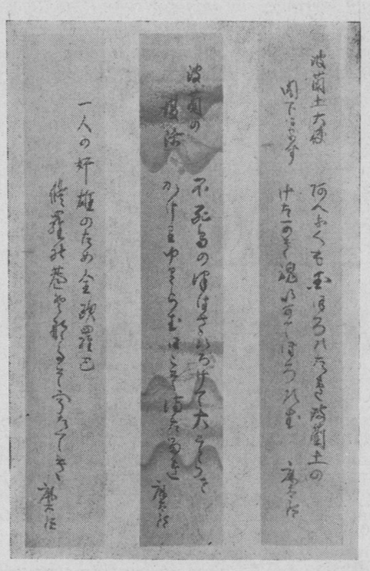

Trzy poematy „tanka"
Od lewej: **„Niegodziwy „wódz", „Zmartwychwstanie Polski", „Polski duch"**

KUPUJEMY
samochody marki
CHEVROLET i BUICK
modele nowoczesne, korzystające z tryptyków.
Oferty:
Consortium Franco-Américain d'Automobiles,
52, av. des Champs-Elysées — Paris.
Pokój nr. 359 — 361.

W ANTWERPJI
numery „Wiadomości Polskich" są do nabycia w księgarni „Progrès" (66 B, r. du Vanneau),

W LONDYNIE
w biurze M. I. Kolin, 36, Great Russell Street.

W WILNIE O ARTYKULE KSAWEREGO PRUSZYŃSKIEGO

W «Kurjerze Wileńskim» z dn. 28 kwietnia b. r. znajdujemy uwagi prof. Konrada Górskiego p. t. «Założenia człowieka Zachodu», wywołane artykułem Pruszyńskiego «Literatura emigracji walczącej» w nr. 1 «Wiadomości Polskich»:

«Ostatnio pojawił się bardzo ciekawy artykuł Ksawerego Pruszyńskiego o roli literatury na emigracji. Z wyjątkiem odwiecznie pokutującego w historji literatury przesądu, jakoby «Pan Tadeusz» był tylko «zamknięciem drzwi od Europy hałasów» (nie zaś dziełem walki, podobnie jak «Dziady» i «Księgi»!), niema w tym artykule nic coby nie zasługiwało na bezwzględne uznanie i przytakiwanie. M. in. znajdują się bardzo ciekawe uwagi o znaczeniu, jakie będzie miał pobyt na emigracji dla licznych zastępów młodego pokolenia. W okresie życia, gdy każdy człowiek jest najpodatniejszy na odbiór wrażeń zewnętrznych, na wychowawcze działanie otoczenia, wielu młodych będzie miało możność przesiąknąć duchem kultury Zachodu. Odegra to napewno dużą rolę w przyszłości.

«Pruszyński podkreśla, że charakterystycznemi cechami kultury Zachodu są: poszanowanie człowieka, myśli, prawdziwa wolność. Wydaje mi się jednak, że możnaby owe znamienne cechy kultury nieco pomnożyć, przynajmniej o dwie rzeczy (o ile nie więcej!), a mianowicie: głębokie i dojrzałe poczucie tradycji, oraz zasadniczą postawę zaufania wobec nowopoznanego człowieka.

«Zagadnienie tradycji jako czynnika twórczego w rozwoju kultury, wymagałoby osobnego rozważania. Ograniczę się tu do jednej uwagi, która się wyda paradoksem, ale jest tylko banalną prawdą, że niema mniej postępowych środowisk, niż te które gardzą tradycją a idealizują rewolucję. Kto się ciągle reformuje, ten się nigdy nie zdoła sformować; będzie kroczył w miejscu, wciąż rozpoczynając odnowa rzeczy, które winien był odziedziczyć po przodkach, gdyby umiał ich dziedzictwo uszanować. Istnieje kapitalny aforyzm lorda Beaconsfielda: «Człowiek praktyczny to ktoś, kto popełnia te same błędy, co i jego przodkowie». Oczywiście, termin «człowiek praktyczny» użyty tu został w znaczeniu ciasnej praktyczności, ufającej tylko osobistemu doświadczeniu, a odrzucającej teorję, która jest streszczeniem doświadczeń innych ludzi w przeszłości.

«Badając stosunek poszczególnych narodów (i jednostek) do tradycji, możnaby przeprowadzić granicę między Wschodem i Zachodem. Jeszcze wyraźniej wszakże wystąpi ta granica, gdy zwrócimy uwagę na stosunek ludzi Wschodu i Zachodu do nowopoznanego człowieka. Stosunek ten na Zachodzie jest w pewnym stopniu wyrazem cechy, którą Pruszyński nazwał poszanowaniem człowieka, ale nie da się całkowicie zamknąć w tem pojęciu. Prawo rzymskie wygłosiło zasadę: «Unusquisque pro honesto habetur, donec probetur contrarium», t. zn. «każdy winien być uważany za uczciwego, chyba że zostanie udowodnione coś przeciwnego». Stąd też człowiek Zachodu przystępuje do każdego z tem założeniem, że ma przed sobą jednostkę uczciwą i moralnie odpowiedzialną, ale jeśli się przekona, że się omylił, reakcja jego przeciw nikczemnikowi, co zawiódł zaufanie, jest bardzo ostra i bezwzględna. Człowiek Wschodu naodwrót. Jego postawa wobec każdego nowo poznanego jest zgóry i zasadniczo nieufna: każdy jest w jego oczach napewno aktualnym lub potencjonalnym łotrem, a tylko stara się wydać zewnętrznie kimś poczciwym. Toteż jeśli ów nowopoznany rzeczywiście okaże się łotrem, człowiek Wschodu nie oburza się wcale, nie domaga się reakcji przeciw występnemu. Opacznie wyinterpretowana zasada o «niesprzeciwianiu się złemu» przychodzi na pomoc, aby usprawiedliwić bierność sprzyjającą występkowi.

«Obserwacja stosunku zaufania czy nieufności do bliźniego zakreśla istotną granicę między Wschodem i Zachodem. Nie wątpię, że młodzież sama zauważy i tę cechę kultury zachodniej, umożliwiająca stworzenie w życiu codziennem cudownej atmosfery wzajemnego zaufania, atmosfery, która jest jak wysokogórskie, czyste powietrze, w zestawieniu ze stęchłą, piwniczną dusznością wschodniej nieufności i podejrzliwości».

Korespondencja

E. S. w Rotterdamie. Odpowiedzi udzieliliśmy w nr. 8 «Wiadomości Polskich». Rękopis zwrócimy po nadesłaniu znaczków pocztowych.

A. C. Nie skorzystamy, ale prosimy o dalsze próby.

Fr. T. w Coëtquidan. Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

Adam Fag w Wilnie. Nie skorzystamy.

Miss D. D. w Llandarne i Miss Evie J. w Bournemouth. Przekazaliśmy gdzie należy.

W. Z. List Pana przekazaliśmy autorowi artykułu.

A. G. w Nowym Jorku. Z wiersza, niestety, nie będziemy mogli skorzystać.

Książki nadesłane

Uwagi na marginesie Polski jutra. *K. Głuchowski.* Nowy Jork, 1940; str. 15 i 1nl.

Bibljoteczka Społeczno-Gospodarcza Wydawnictwa «Kohorta». *Henryk Korab-Kucharski.* Odkryjmy Francję. Paryż, 1940; str. 64.

Bibliothèque de Philosophie Scientifique. Directeur: *Paul Gaultier,* de l'Institut. *Louis Marlio,* Membre de l'Insttitut. Dictature ou liberté. Paryż, Flammarion, 1940; str. 2bbl. i i 252 i 2nl.

Irène Némirovsky. Les chiens et les loups. Roman. Paryż, Albin Michel, 1940; str. 2nl. i 249 i 3nl.

Robert Vaucher. Marins et marine de Pologne. (Paryż), Bloud et Gay, 1940; str. 63 i 1nl. i tabl. 4.

POSZUKUJĘ
egzemplarza «LALKI» Prusa. Wiadomość do administracji «Wiadomości Polskich» pod *M. O.*

Redaktor: *Zygmunt Nowakowski*

Le gérant : *Gabrielle Ricordeau*

IMPRIMERIE COOPÉRATIVE ETOILE
18-20, Fbg. du Temple, Paris (11e)

Zygmunt Dygat, znakomity pianista polski, wystąpi z recitalem w sali Gaveau dn. 28 b. m. na rzecz Pomocy Artystów Polskich we Francji 088015

EXTRAITS ET RÉSUMÉS, EN FRANÇAIS, DES ARTICLES PARAISSANT DANS CE NUMÉRO

Au sommaire du nº 11 des « Nouvelles Polonaises » figurent les textes suivants: l'article de M. Aleksander Hertz « God Save the King! » ; un poème de M. Antoni Słonimski ; un fragment du livre de M. Nevile Henderson « Failure of a Mission », dans la traduction d'Observer ; le récit de M. Rafał Malczewski « Un jour » (d'après les souvenirs du lieutenant X.) ; le feuilleton de M. Józef Wittlin «Le combat contre les ténèbres » ; un extrait du roman de Mme Marja Kuncewiczowa « Le mari de Rose » ; la correspondance de Londres de M. Zbigniew Grabowski «Churchill devient le premier ministre» ; les réflexions de M. Juljusz Grot sur les derniers événements ; « La guerre toute nue » de M. Adam Sterbałła ; l'article d'Observer « La guerre s'approche des Etats-Unis » ; les essais poétiques de Mme Marja Pawlikowska, etc., etc.

Nous donnons ci-dessous les résumés de quelques articles qui pourraient intéresser, plus particulièrement, le lecteur français.

God Save the King!

Le Congrès de Berlin, écrit M. Aleksander Hertz, fut la dernière tentative valable, avant la Grande-Guerre, de créer un mode de stabilité européenne ; et cet essai ne parut pas manqué en son entier, ou, du moins, ne se montra pas tout à fait inopérant. Malgré ses défauts, le système fonctionnait, tant bien que mal, plus de trente ans durant et offrait une vie paisible à deux, trois générations. Aussi, l'Europe restait - elle plongée, quelque sept lustres, dans une atmosphère d'optimisme. Les gens envisageaient l'avenir d'une âme tranquille. La courbe de l'épargne, par exemple, montait toujours, en ce temps - là. Le sentiment de la « confraternité » européenne semblait général : en se déplaçant, on se sentait à l'aise, aussi bien à Paris qu'à Berlin, à Vienne qu'à Londres.

Certes, à l'intérieur des pays, la situation n'était point sans failles, et le ciel politique, sans nuages. Ça et là, se produisaient des heurts, les éléments des conflits, même, s'amassaient et s'épaississaient, peu à peu. Mais, pour l'homme moyen, « l'homme de la rue », les choses menaçantes, dangereuses, menant fatalement à la conflagration, passaient inaperçues, autant dire.

Et voilà la guerre de 1914. Du coup, l'Europe se trouva partagée en deux camps ennemis. D'un côté, les Empires Centraux dont la force débordait sur les Balkans et sur le Proche Orient, force bien compacte et aux visées bien déterminées ; et de l'autre côté, l'Angleterre attachée jalousement à l'idée de l'équilibre continental, la France et l'Italie tendues vers la récupération des territoires perdus jadis ou naguère.

Ce ne fut qu'à la fin de la guerre, lors de son étape dernière, que l'Entente accepta, de conserve, le principe directeur du Président Wilson, principe qui devait assurer à l'Europe et au monde, des assises stables, et une configuration de longue durée. Et, en effet, l'Entente disposait à ce moment d'immenses possibilités. Cependant, la combinaison s'avéra aussitôt établie en porte à faux et, conséquemment, fort fragile : les trois grandes puissances, alliées jusque là, allaient désormais par des voies divergentes, chacune dans sa propre direction, et chacune pour son propre compte. Or, cela entraîna un des plus terribles malheurs qui soient jamais tombés sur l'humanité. Le pire parmi les maux qui surgirent, à cette heure critique, ce fut l'antagonisme tacite entre la France et l'Angleterre, conjoncture qui eut pour suite un état d'anarchie, en Europe. L'ancien système, celui de 1878, s'effondra en 1914 ; et nul autre ne le remplaça, depuis.

Il n'y en avait qu'un seul, au vrai : une collaboration étroite de la France et de la Grande - Bretagne, en une action conjugée toujours et sans relâche, pour poser des bases solides à un agencement politique, à une organisation unifiée de toutes les valeurs morales, culturelles, économiques du vieux monde, au regard desquelles le racisme allemand et le bolchévisme russe ne sont que de très nuisibles hérésies.

La guerre actuelle doit décider qui des deux adversaires prendra pour tâche d'organiser l'Europe : Hitler, ou l'alliance franco-britannique. Car, l'anarchie d'après la Grande-Guerre ne saurait persister, en aucun cas.

Le programme hitlérien est défini en toute clarté et avec toute précision. Les aspirations du Troisième Reich englobent la terre entière, son « dynamisme » s'attaque à tous, en vertu de cette idée centrale que le « Volk » allemand, ayant ses ramifications partout, se trouve partout chez lui, de droit.

Vis-à-vis du Reich se placent la France et la Grande-Bretagne, qui ont pour mission de reconstruire l'Europe, à leur manière, par leurs moyens, avec leurs volontés et selon leurs idéals. La victoire franco-anglaise rendra nette la situation, nette et universellement acceptable.

Que l'Angleterre ne s'y dérobe pas, et on pourra clamer en chœur, jusqu'aux confins du globe : « God save the King! ».

Le combat contre les ténèbres

M. Józef Wittlin confesse que se battre férocement, cruellement, avec un ennemi, il ne le saurait point. La nuit, il tâche, par de longues entretiens, de le convaincre du tort qu'il a d'être un ennemi. Mais celui-ci garde le silence et continue de haïr.

Qui est cet implacable adversaire ? Il est le mal incarné en des millions d'hommes qui ne rèvent que détruire tout ce qu'il aime et vénère. Quel langage employer pour le convaincre, Seigneur! De quels moyens user pour que les ténèbres cèdent à la lumière? Faut-il répondre à la fauve violence par une violence toute pareille? Et pourtant, les Maîtres de l'esprit, ceux de la terre et ceux des cieux, enseignent une tout autre doctrine.

La seule tâche, maintenant, tâche obligatoire pour tous, dit M. Wittlin, est de libérer la patrie. Mais, un examen de conscience peut se faire, dès à présent, « chacun de nous doit intenter un procès à lui-même, serait-il innocent en son âme ». Une telle attitude morale ne saurait qu'être profitable à l'individu et à la collectivité. Qui aspire au règne de la clarté, qu'il chasse de son tréfonds les forces ténébreuses. Et alors, le démon du mal et de la nuit ne trouvera plus de complices.

La Pologne qui passe par des épreuves dures entre toutes, épreuves de feu, ne périra pas. Elle sortira purifiée de ces flammes. Car elle fit son choix, dans la lutte entre la lumière et les ténèbres. Elle choisit la lumière

⁂

Les plaines des Flandres qui ont vu tant de combats gigantesques portant les noms à jamais mémorables d'Azincourt, de Crécy, de Rocroi, de Jemmapes, de Valmy, de Waterloo et tantôt encore, de Dixmude et de Charleroi jouent à cette heure le rôle des glacis de la civilisation.

C'est pour toute notre conception de la vie, c'est pour la réhabilitation de l'idée humanitaire, pour le triomphe du droit de l'homme et du citoyen, pour les beautés de l'art, pour les trésors de la pensée, que les armées alliées combattent. Quelqu'un a dit — et c'est M. Juljusz Grot qui le rapporte dans ses réflexions — que la situation d'à présent fait penser au Jugement dernier. Les mêmes forces, les mêmes vertus, les mêmes soldats qui, autrefois, allaient au feu, à l'appel de Jeanne d'Arc, au cri d'alarme du Comité du Salut Public, gens de France, luttent à mort contre l'ennemi.

Hitler, s'il faut en croire Rauschning, aurait dit qu'il réserve à la France la tâche réjouissante d'un Luna Park. Il se trompe, le Führer. La Patrie de la Pucelle d'Orléans, le pays qui a connu Verdun sera une tombe pour l'envahisseur.

En nos prochains numéros «Wiadomości Polskie» publieront entre autres: **Francisza Biedarta** «Rzeźba Augusta Zamoyskiego», ś. p. **Stanisława Estreichera** «U końca» (wiersz z puścizny rękopiśmiennej), **Zbigniewa Grabowskiego** «Polska naszych pragnień», **Wacława Grzybowskiego** «Książę: zagadnienie postaci», **Oskara Haleckiego** «Trzy pomniki ustroju staropolskiego», **Edwarda Krakowskiego** «Ostatnia tajemnica Charles'a Péguy», **Marjana Kukiela** «Napoleon a dzień dzisiejszy», **Marji Kuncewiczowej** fragment powieści «Mąż Róży» («Śmierć Krzysztofowicza»), **Janusza Laskowskiego** «Rozgrywka wojenna Kremlu», **Jana Lechonia** «Poezja czysta w poezji polskiej», **Bolesława Leitgebera** «Londyn i jego Tamiza», **Stanisława Mackiewicza** «Generał na czarnym i generał na białym koniu», **Zygmunta Nowakowskiego** «No Parking» (cykl listów z Ameryki), **Hermanna Rauschninga** «Zwierzenia Hitlera», **Marji Szurek-Wisti** «Fridtjof Nansen» (w dziesiątą rocznicę śmierci wielkiego Norwega), **Geneviève Tabouis** «Przyszła Polska» (artykuł napisany specjalnie dla «Wiadomości Polskich»), **Jeremiego Wasiutyńskiego** «Pieszo przez raj» (fragment wspomnień z podróży do Grenlandji).